№ 32. Warszawa, dnia 6 Sierpnia (24 Lipca) 1905 r. Rok XLI.

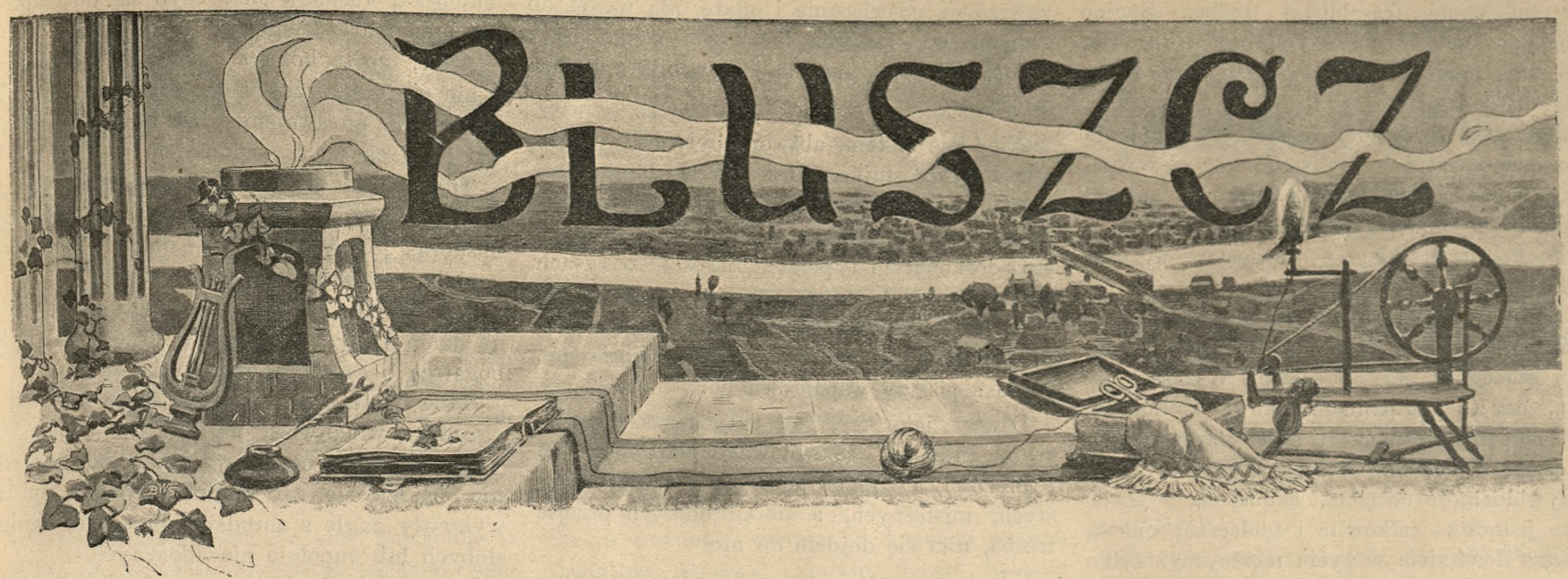

PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

POLKI
we współczesnej literaturze, nauce i sztuce.

HAJOTA.
(SYLWETKA LITERACKA).

Hajota, jako indywidualność, jako jednostka twórcza jest przedewszystkiem kobietą,—typem, powtarzającym się wiecznie i nieodmiennie we wszystkich krajach i epokach, istotą wrażliwą, czułą na piękno, dobro i ból, ale nad to wszystko ceniącą wyżej swój urok i swoją kobiecość. To jest podstawa jej literackiego czynu, to jest kamień węgielny tego muru, który padł pomiędzy nią a innemi autorkami tej samej, co ona miary, lecz innego pokroju.

Tamte nie rozumieją nigdy nowelli lub powieści, a więc dzieła sztuki, bez namacalnej celowości, bez koniecznych i natychmiastowych kajań się, odrzekań i postanowień w duszy skruszonego czytelnika.

Te troskliwe piastunki idei dały nam cały szereg postaci wyrazistych, konturowych, stworzyły specyalny sposób naginania ludzi i faktów do z góry wziętego modelu, stworzyły styl jędrny, ucinkowy, dobitny, styl, który miał być „męzkim;“ jednem słowem, stworzyły całą literaturę kobieco-tendencyjną, o charakterze ogromnie dzisiejszym, aktualnym i publicystycznym. Siła ducha jest tu daleko większą od siły talentu, choć i ta ostatnia bywa niepoślednią. Dość wspomnieć Zapolską, Rodziewiczównę, Grot-Bęczkowską.

Hajota jest od nich krańcowo różną. Niema w niej ani trochę tej pochopności do dyskussyi, do przekonywania, do rozplątywania węzłów, jakie cechuje umysły kobiet współczesnych. Nie narzuca się ona nam ze swemi przekonaniami, ze swoim sztandarem, poprostu dlatego, że go nie podnosi nigdy; nie wiemy nawet na razie, czy go ma.

Ta pewna chwiejność, obojętność względem tego, co nazywamy zasadą, brak, nie biernie odczutych i bezkrytycznie przyjętych, ale jasno sformułowanych i spoistych przekonań, bije w oczy i drażni szczególniej w jej utworach „europejskich;“ wszystko, co z duszy jej wysnuła Afryka, stanowi odrębny dział twórczości literackiej, dział, w którym oddzielnie staną jej „tak“ i „nie,“ jej „dobro“ i „zło,“ jej „prawda“ i „fałsz,“ jej „piękno“ i „brzydota.“

HAJOTA.

Tymczasem musimy poprzestać na tem, co nam da, a daje ona wiele rzeczy dobrych, zajmujących, sympatycznych, nieraz nawet prawdziwych, rzeczy, którym nie można na pozór postawić innego zarzutu, prócz tego, że nie wystrzelają prawie niczem nad jednostajną powódź tych poczciwych „nowelek,“ „szkiców“ i „obrazków,“ zamulających rolę naszego piśmiennictwa.

Umysłowość Hajoty giętka, choć nie głęboka, spotrzegawczość bystra, ogromnie rozgałęziona, iście kobieca zdolność szybkiego oryentowania się, wyobraźnia podatna do przyjmowania wrażeń codziennych i nieskomplikowanych, otworzyły jej pole twórcze przedewszystkiem w zakresie stosunków towarzyskich i sercowych.

Zakres ten, z natury rzeczy ciasny i jednostronny, starano się ożywić wprowadzeniem pierwiastków silniejszych: namiętności i dramatów życiowych, które skupiają w sobie ruch i akcyę utworu. Niestety, brak miary artystycznej stanął na przełaj dobrym chęciom. Nurtowanie namiętności zamienia się często w pospolite łapanie czytelnika na wędkę melodramatycznego, gazeciarskiego effektu. Nieprawdopodobieństwo w założeniu lub rozwiązaniu fabuły, nieszczęsna ułomność Korzeniowskiego, powtórzyła się tutaj w całej rozciągłości. Owe tajemnicze, nagłe choroby, postanowienia, samobójstwa i wyjazdy, odgrywające rolę śmierci ścigającej Heroda w jasełkach, psują często dobre wrażenie ogólnej osnowy.

A są tu jednak rzeczy, które przez drobiazgowe śledzenie i podpatrywanie pewnych objawów życia jednostkowego, przez samorodną ironię, przez swój odrębny, półsmutny, pół-sarkastyczny uśmiech, są prawdziwemi perełkami artyzmu i psychologii. Psychologii tylko pewnych dusz, *pewnych jednostek*. Co do charakteru jej typów nie trzeba się łudzić. Te panny na wydaniu, te frasobliwe mamy, ci szlachetni i nieszlachetni panowie, ci dogasający sybaryci i dziwaczne staruszki,— wszystko to żyje, troska się, walczy, zmaga się z losem,— tylko w imię osobistych uczuć, namiętności i interesów. Nigdy paląca rozbieżność antymonii życiowych nie rozdarła tych dusz, bolejących nieraz tak silnie nad niedolą własną i najbliższych, nigdy sztandar wielkich idei nie zaszumiał nad temi głowami, ciężkiemi

od codziennej frasobliwej troski... Spójne działanie, zbiorowy ból i zbiorowa krzywda nie mają jeszcze na razie przystępu do twórczej duszy Hajoty.

Jednostka i tylko jednostka, a po za nią wszędzie wyziera z mglistego tła akwarelowego obrazka fizyognomia duchowa autorki o dziwnym sfinksowym uśmiechu...

Pomimo wszystkiego — niewysłowiony czar kobiecości...

Jakże wygląda kobieta w jej oświetleniu?

Zawsze gotowa na miłość i upojenie, czasem głucha na głos obowiązku. Wszystko jedno, czy to jest panna salonowa z Europy, czy półdzika Murzynka z głębi czarnego lądu.

Żadna z nich nie występuje „*sama*," jako indywidualność odrębna, skończona w sobie, jako jednostka całkowita i społeczna; one są zawsze dodatkiem w życiu mężczyzny, tylko pięknym dodatkiem.

A prawda! a angielskie missyonarki? Nie wiem, czy która z autorek naszych wylała odrazu tyle żółci i sarkazmu, jak Hajota, kreśląc wizerunek swojej „Miss Lilian Aimley" i swoich missyonarzy anglikańskich w „Ostatniej butelce."

Wszystko to jest wzięte pod strychulec ostrej, badawczej krytyki i wyśmiane drobiazgowo, cicho, dotkliwie... po kobiecemu. Prawda, że te krzewicielki wiary i oświaty wygubiły w sobie wszystko to, co w człowieku jest złotym balsamem serca, ale przecież i one, nie kochając ludzi, kochały po swojemu ideę, i kiedyś w egzaltacyi młodości poświęciły dla niej wiele, bardzo wiele... Nad tem wszystkiem Hajota przechodzi do porządku dziennego.

Jej kobiety dokonywują niekiedy zadziwiających czynów cywilnej odwagi, gotowe są zawsze na poświęcenie i ofiarę, idą nawet do bohaterstwa — zawsze i zawsze — tylko przez miłość. Dziwna, smutna i złowroga apoteoza Erosa...

Nie idzie za tem, aby one były ckliwe, nieznośne, jednostajne. Przeciwnie— biorą serce tajemnym czarem niewieściego sentymentu. Taka Dyana z „Ostatniej butelki" jest poprostu doskonałym typem kobiecości, o rysach idealnych i subtelnych, a — co rzadko idzie w parze — porywającej prostotą. Tej przecudnej kreacyi pozazdrościć może Hajocie nie jeden z pisarzy współczesnych.

Dyana, jako typ, jest dotychczas najwyższym krańcem rozwojowego łańcucha jej twórczości, ale przez jakiż potop rzeczy mglistych, misternych, a nieraz błahych przejść trzeba, nim się dojdzie do niej!

Siła i szczerość,— oto dwa niepożyte znamiona wielkiej sztuki.

Hajota w swoich pracach europejskich jest szczerą, choć nie do tego stopnia, aby jej osobowość stanęła przed nami jasna i niewątpliwa; do tworzenia rzeczy mocnych, zwartych, zapadających głęboko w duszę czytelnika, po prostu brak jej siły.

Źródło tego wypływa nie tylko z indywidualnej miękkości, ale raczej ztąd, że Hajota ucząc się z życia, z obserwacyi i z książek, nie uczyła się nigdy u natury. Człowiek ślepy od urodzenia, któremuby przeczytano jej powieści i nowelki „europejskie," dowiedziałby się z najdrobniejszemi szczegółami, jak wygląda piękny buduar, „atelier" modnego malarza lub pokoik rozromansowanego dziewczątka; nie dowiedziałby się nigdy, jak się w słońcu pali złocisty łan żyta, jak szumi przed deszczem płacząca wierzbina, jak chłopska, kosmata pierś chyli się do obrosłego łona matki-ziemi...

Czuć, że ta kobieta upoiła się cywilizacyą i nie umie spojrzeć w oczy rzeczom i ludziom po prostu, po swojemu, bez literackiej intencyi i książkowych wspomnień.

Trzeba było aż ognistych promieni zwrotnikowego słońca, aby przepalić ten sztuczny naskórek jej cywilizowanej duszy i wydobyć z niej prawdziwy, rzetelny artyzm.

Jak roślina, wyniesiona nagle na światło, na dzień Boży, tak Hajota wróciła z Afryki bogatsza o cały ogromny kwiat ducha.

Silne i świadome poczucie barw i kształtu, ogromna wrażliwość na światło i cień, te wszystkie cechy czysto *malarskie*, bez których nie obejdzie się żaden dobry pisarz epicki, wykwitły nagle z zarodków przedtem bardzo słabych lub zupełnie niewidocznych.

I tutaj jednak natura odgrywa tylko rolę przelotnego tła. W tem leży główna różnica pomiędzy Hajotą a Sieroszewskim, u którego, jak wiadomo, pejzaż i zapatrzenie się w nim góruje często nad losami ludzkiemi. Bystra i ruchliwa spostrzegawczość Hajoty nie pozwoliła jej nigdy zapaść w kontemplacyę i skupienie, ale rzuciła ją przedewszystkiem do stosunków i scen ludzkich, dała jej władzę „widzenia" i poruszania grup i tłumów.

Takie sceny zbiorowe, jak uczta murzyńska z „Błękitnego naszyjnika," jak podzwrotnikowy rynek, pochód „Ekbo," wizyta u Archibonga II-go, nocny taniec Murzynek z głębi „czarnego lądu," — w „Ostatniej butelce," poprostu palą oczy swą nadzwyczajną plastyką, śmiałością linii, olśniewającą siłą kolorytu.

Co w nich zadziwia jeszcze bardziej, to ogrom szczegółów czysto miejscowych. Nowa ziemia, nowi ludzie obudzili w Hajocie egzo-

---

Ploteczki i Prawdy.

(FELJETON TYGODNIOWY).

(Gdy stworzył Pan Bóg chłopa. —O „młodszym bracie." — Świty i brzaski.— Strach leczy.— Sylwetka słomianego wdowca.— O letniczkach, które lubią grzech...).

Najsampierw—jak opowiada z żywą gestykulacyą Josel Afiszer—stworzył Pan Bóg szlachcica. Dał mu piękny dwór, włók ziemi sto kilkadziesiąt, dziedziczkę posażną, któraby do kąpiel co roku jeździła, dał mu karty, żeby mógł majątek przegrać, pachciarza, któryby go okpiwał, konie, któreby zajeżdżał, a dawszy mu to wszystko, spytał:

— Cóż?... jesteś zadowolony?

A szlachcic ukłonił się z attencyą i odrzekł:

— Dzięki Ci Panie Boże! Jestem istotnie zadowolony!...

Potem stworzył Bóg żyda i dał mu karczmę murowaną, Surę z sześcioma bachorami, dał mu dziedzica, któregoby mógł okpiwać, chłopa, któregoby ssał, a potem go spytał:

— A jesteś-że żydzie zadowolony?

Żyd skłonił się po pas i odparł:

— Dziękuję Tobie Panie Boże; jestem bardzo „zadowolniony!..."

Wreszcie stworzył Bóg chłopa. Dał mu chałupę, słomą poszytą, dał mu Jagnę i dziecisków chmarę, dał gadziny sporo i koników parę, dał ogród i sadek dobrze zaopatrzony, dał pierzynę wielką i skrzynię ładnie okutą, a dawszy mu to wszystko, zapytał.

— Jakże chłopie?... Czy jesteś zadowolony?

A chłop na to poskrobał się tylko w głowę i powiada:

— Ta niby jestem, ale zdałoby się, proszę łaski, jeszcze na... monopol!...

Dobra anegdota—nieprawdaż?... I tak niby doskonale chłopa charakteryzująca. Lecz... na szczęście już nie tego dzisiejszego... Co najwyżej, tego z obrazków Gersonowskich, karykatur Kostrzewskiego lub nowelek Dygasińskiego, czy Junoszy-Szaniawskiego. Ten, klepany przez nas dobrodusznie po plecach kmiotek, jakoś w oczach naszych emancypować nam się naraz zaczyna. Nie wszędzie, nie ze wszystkiem jeszcze, co prawda, ale już tu i ówdzie dojdzie nas echo, jakby głuchego pomruku chmur, z których spadnie, rzęsisty i urodzaj społeczny niosący deszcz. Po przez ciemnię faktów mówiących o rozlicznych strejkach, o nadmiernie wygórowanych żądaniach wobec dworu, przezierać poczynają świetlane promienie masowych wyprzysięgań się chłopów od wódki, prześwietlać zaczynają całe kaskady promienne entuzyazmu, z jakim ten lud wita swego biskupa, objeżdżającego dyecezyę. Banderye, bramy i łuki trymfalne, toż tylko forma zewnętrzna, ale to wszystko razem, co nam opowiadają o przyjęciach biskupów po wsiach, przepojone jest tak szczerą i szczytną radością tego ludu, to wszystko tchnie tak bezgranicznem ciepłem głębokiej i prostolinijnej jego religijności, że... *Sursum corda!*...

Legenda tylko o „młodszym bracie" poczyna się w tych warunkach gdzieś zatracać. „Młodszy brat" traktowany protekcyonalnie jakoś, naraz wyrasta nam w naszych oczach. Czuje się *obywatelem kraju* i za takiego się każe uważać. Zaczyna brakować miejsca wobec niego dla płaskiej humorystyki, gdy w oku lśni łza rozrzewnienia.

Będę szczery i powiem, że takiej łzy padłem i ja ofiarą, gdym słuchał przemówienia gospodarza Krzyziaka na przyjęciu serdecznem, jakiem się goszczono wzajemnie niedawno w Skolimowie pod Warszawą. Było to po uroczystości poświęcenia kaplicy, którą zbudowali dla Skolimowian tamtejsi letnicy warszawscy. Gospodarz Krzyziak dziękował za „dom Boży." Ale jak to chłop, mało mu tego...

— Dom nam zbudujcie jeszcze—powiada,— gdziebyśmy się uczyć mogli, t. j. szkołę; dom nam zbudujcie, gdzieby coś pożytecznego

tyczną i etnograficzną wrażliwość. Wszystko to, na co poczciwy europejski filister otwiera w szerokim podziwie oczy i usta, co jest dla nas nowe, nieznane, obce, jednem słowem „inne,“— to występuje tutaj z niesłychaną wyrazistością.

Taka jest siła i artystyczne skupienie w tych oderwanych, przypadkowych obrazach i epizodach, że wysuwają się one na miejsce naczelne i całkowicie zdobywają sobie wyobraźnię czytelnika. To, co jest w każdej powieści główne, a więc jej fabuła (w „Ostatniej butelce“ miłość Dyany i agenta), tutaj jest cofnięte w głąb, poprostu zalane massą szczegółów etnograficznych i obyczajowych, i dopiero pod koniec, jakby przez poczucie zadosyćuczynienia, dobija się pierwszeństwa.

Bezwarunkowo traci na tem harmonia utworu, ale podnosi się jeszcze bardziej jego znaczenie egzotyczne, a nawet ideowe.

Bo nie sądźmy, żeby „Ostatnia butelka,“ „Dla zabicia czasu,“ „Miss Lilian Aimley,“ „Błękitny naszyjnik,“ to były tylko kolorystyczne obrazki; to jest także bojowa rękawica, rzucona prosto w twarz naszej wielkiej, błogosławionej cywilizacyi. Hajota, która przybyła tutaj bez rassowych nienawiści i uprzedzeń, nie mogła nie odczuć całego ogromu podłości i ucisku, jakie przynoszą tu z sobą ludzie z dalekiej północy, ludzie „biali.“ Motłoch murzyński, niechlujny, okrutny, spodlony przez niewolę i po zwierzęcemu przebiegły, przemówił do jej serca wielkim krzykiem swoich okropnych krzywd, wołających po prostu o pomstę do Boga.

Wszystkie urządzenia i instytucye europejskie, przynajmniej te, z któremi autorka zetknęła się osobiście, są dla tuziemców tylko narzędziami zepsucia lub tortury. Faktorye odgrywają tu rolę systematycznego wampira. Istnieją tylko po to, aby wyssać żywą krew z pod serca Murzyna, oszukać go, zabrać mu zdrowie, majątek, siły, zepsuć mu dzieci, zbezcześcić żony, zabić na zawsze jego naiwną, roślinną szczęśliwość, a potem odrzucić tak, jak się odrzuca wyciśniętą cytrynę i odrzuconym gardzić.

A missyonarze i missyonarki anglikańskie? Chcą swych wychowańców urobić na żywe maszyny, na matematyczne doskonałości, a naprawdę szczepią bezwiednie w ich duszach świadomy fałsz i zawodową hipokryzyę. Smutno pomyśleć, jakie obniżenie wielkiego Chrystusowego ideału!

Znikąd rady, znikąd pomocy i ratunku! Więc prostą jest i szczerą ta gorycz, co bucha z każdego wiersza, z każdego wyrazu „Ostatniej butelki.“ Znikło gdzieś figlarne przekomarzanie się jej pierwszych nowelek, rozwiał się słoneczny uśmiech. Zamiast niego pali nam czoło piekielna ironia Swifta, szatańskim zgrzytem wgryza się pod czaszkę cyniczny i bezgranicznie smutny śmiech.

Nie dziwmy mu się: ten śmiech idzie z pod serca; ciąży na nim ludzka krew i ludzkie łzy. Ten śmiech, to jeszcze jedna dana, aby przeważyć szalę artystycznego zwycięztwa. „Ostatnia butelka“ jest arcydziełem Hajoty i jednym z ostatnich utworów powieściowych ostatniej doby.

Czego nie mogła dać jej Europa z całym swym smakiem, blichtrem i osławioną cywilizacyą, to dało jej afrykańskie słońce i ogromny ból kobiecego serca nad krwawą krzywdą tych „wielkich, czarnych dzieci.“

Miles.

Marya Rodziewiczówna.

Joan. *VIII, 1—12.*

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

XI.

Państwo Salniccy wrócili na sezon zimowy do Warszawy po paru miesiącach poślubnej podróży.

Maniusia wyglądała świetnie, ale wyznała matce, że powraca z radością, bo jej się już znudziły te hotele i zwiedzania, i tęskni do znajomych.

Salnicki wyglądał też, że rad odnajdzie partyę winta i wypocznie z ciężkiej służby dogadzania młodej żonie. Był widocznie zakochany i forsownie udawał młodego małżonka. Ona go traktowała dość lekko i z góry.

Rozgospodarowali się w swych pysznych apartamentach, złożyli wizyty, weszli w tryb życia swej sfery i stosunków. Maniusia zaczęła żyć i używać. Miała powóz i konie, lożę w teatrze, stroje i brylanty, i odrazu poczuła się uwielbianą i pożądaną przez wszystkich młodych mężczyzn, nie wyłączając obu braci, którzy jej teraz dogadzali i uprzedzająco byli serdeczni.

Zrazu była literalnie oszołomiona wrażeniami tak nowemi, stała się znowu, jak w dzieciństwie, pieszczochem rodziny; słyszała tylko zachwyty, pochwały i komplimenty, czuła się bóztwem i królową. Ale się rychło, z wrodzonym sprytem połapała w tym chaosie,

---

przeczytać można (czytelnia). Jest już gdzie się modlić, niech będzie jeszcze gdzie się oświecać...

Tak powiadał ten „nienasycony kmiotek,“ a obecni „Warszawiacy,“ ci lekkomyślni Warszawiacy, marzący tylko o gumach, „Nowościach“ i pięknościach z cukierni Jackowskiego, brali go potem w ramiona, ściskali i zapewniali, że wybudują w dalszym ciągu szkołę i czytelnię...

Patrzyłem na tę scenę... i przyszła mi na myśl anegdota o stworzeniu chłopa, a w rezultacie było mi bardzo rzewnie, bardzo kochanie...

Zdałoby się jeszcze... ale już nie na monopol, ale na szkołę!... Co za odskok, jakie czasy...

Fakt jeden, ale idą takie oto dni, że go uogólnić już można. Śmiało i pewnie!... Któż nie czytał w pismach, co się działo na posiedzeniach gminnych, gdzie chodziło o prawa dla języka polskiego?...

Zapewne, że jeszcze nie czas i teraz na uderzanie w wielki dzwon radości, gdy w oceanie mas rolniczych jeszcze dużo fal ciemnych, mętnych, nieuświadomionych. Lecz oto idą już brzaski, świty, zapowiadające wielkie południe społecznego uświadomienia mas chłopskich...

Po przyjęciu, na którem przemawiał ów Krzyziak, wracaliśmy w kilku do will. Nastrój był serdeczny bardzo, powiem rozanielony. Ale robak się lęgnie i w bujnym kwiecie. Znalazł się pessymista, który nam zatruł chwilę jasną. Na nieszczęście miał słuszność.

Powiada:

— A wybudujmyż im co rychlej tę szkołę! Może nauczą się trochę rachować. Rachunkowość, jak wiadomo, prowadzi do zapobiegliwości, a na tej Skolimowszczanom, jak w ogóle naszym chłopom, strasznie zbywa...

Spojrzeliśmy po sobie. Pessymista uzasadniał:

— Skarżę się, jako tutejszy letnik. Potrzeba mięsa, jaj, kurcząt, to kupujemy, ale... warszawskie. Skolimowska gospodyni, a tak samo Wilanowska, z Piaseczna, Urla czy Czerniakowska, woli wyhodowane kurczę, warzywo, jaja czy ser wynieść na targ do Warszawy i dopiero za jej pośrednictwem nam sprzedać, aniżeli pomyśleć nad tem, że to samo możnaby zbyć na miejscu letnikowi bezpośrednio i wygodniej, i lepiej, bez doliczania do towaru potem ceny jego ekspedycyi. To też my tu wszystko, letnicy Skolimowscy, przepłacamy słono, a nieraz i szczęśliwi jesteśmy, że coś dostać można...

W ten sposób przedstawione dowody i wywody owego letnika nabawiły mnie potem długich rozmyślań. Nasz rolnik, ilekroć występuje jako sprzedawca, przedsiębiorca jest niepraktyczny, niewyrachowany, niezapobiegliwy. Brak mu zmysłu wyrozumiałości względem „kupiciela,“ jest w nim nadmiar łakomstwa na zarobek łatwy, nieuzasadniony. Prawda, że ten proceder i oberżyści szwajcarscy a włoscy doprowadzili również do doskonałości nadzwyczajnej, ale i nasz kmiotek Skolimowski czy Wilanowski nie ustępuje mu w tym kierunku ani trochę. Tylko robi to mniej zręcznie, mniej delikatnie, czyli więcej niezgrabnie, ale zawsze zdecydowanie, stanowczo...

Letnicy poczciwi znoszą to, a cierpiąc, robią jeszcze najczęściej dobrą minę do złej gry. Bogdaj to optymizm w życiu...

Najbardziej uprawianym zaś jest ten optymizm życiowy w czasie kanikuły przez dwoje małżonków, rozdzielonych na pewien czas sezonem. Dzieli ich kuracya, bo... pani małżonka wyjechała się leczyć.

Pytam jednego ze znajomych:

— Cóż łaskawco?... Żona już we Franzensbadzie, jak zawsze?...

— Ej, gdzie tam! — odpowiada mi, skrobiąc się w głowę, — ani myśleć o zagranicy. Siedzi niebożątko pod Urlem i chwali Boga, wymyślając jeno na nasze kmiotki, co się zmieści...

— A powód?!..

— Ciężkie czasy!... nie było na zagranicę.

i urządziła się praktycznie i wygodnie. Rodzinę traktowała protekcyonalnie, wielbicieli ze zręczną, zimną kokieteryą, kobiety nieufnie i ostrożnie, męża z wyrozumiałością dojrzałej kobiety.

Salnicki zrazu nieśmiało wymykał się na winta i sessye, spodziewał się protestu. Zachwycony był, że żona zostawiła mu zupełną swobodę, nie krępowała w niczem. Brał to za dowód najwyższej miłości i ofiarności — był wdzięczny, że nie czyniła mu żadnej wymówki, nie przykrzyła sobie, gdy ją samą zostawiał.

— To anioł, nie kobieta! — mawiał do Zarębiny, która coraz częściej i coraz dłużej gościła u córki, wykolejona od wsi — temi kilku latami spędzonemi w mieście.

Szczęście córki upajało ją i była niem dumna, jako swem dziełem; o niczem nie umiała mówić, tylko o Maniusi i jej pomyślności. Obnosiła to szczęście po wszystkich krewnych i znajomych — zanudzała tem wszystkich starszych, stała się pośmiewiskiem młodszych. O czemkolwiek mówiono, cokolwiek się stało w mieście lub na świecie — Zarębina kończyła rozmowę lub ją skręcała na temat doskonałości Maniusi, jej tryumfów, jej urody, jej gospodarności, jej dostatków, jej dowcipów, jej przywiązania dla męża i rodziny. Był to impressaryo Maniusi. Znajome jej, tak zwane przyjaciółki, słuchały tego ze słodko-kwaśnym uśmieszkiem, pytając czasem dyskretnie o wnuka, ale i w tem nie pobiły Zarębiny, bo w kilka miesięcy po ślubie zaczęła z dyskretno-tajemniczą miną tłómaczyć córkę, że zapewne nie będzie mogła tańczyć w karnawale.

Wiadomość ta napełniła kumoszki tajoną złością zawodu, Salnickiego wielką dumą, młodzież nadskakującą Maniusi niesmakiem i oziębłością.

Maniusia sama nie wyglądała zachwycona swem spodziewanem macierzyństwem. Miała tyle toalet, których nie zaprodukuje, i które wyjdą z mody, a zarazem odczuła boleśnie obojętność swych satelitów. Nudziła ją też zdwojona troskliwość męża, rady i przestrogi matki, skrępowanie swobody — zrobiła się opryskliwa i grymaśna, poczęła płakać o byle co i nudzić się.

Wobec obcych hamowała się i udawała, ale dla domowych i służby stała się nieznośną. Nic jej nie brakło, wszelkie chęci i fantazye były spełnione, zaledwie je wyraziła, a ją trapiła jakaś nuda, jakiś brak, niezadowolenie, bunt i pragnienie, którego nie umiała określić.

Zastawał ją często mąż zapłakaną, starał się uspokoić, rozweselić, upieścić, wpadała tylko w większe rozdrażnienie i niecierpliwość, odtrącała go prawie ze wstrętem; gdy to opowiadał, skarżąc się teściowej, uspokajała go „tym stanem," chociaż czasami sama była przerażona taką zmianą charakteru Maniusi.

— Moje dziecko powinnaś nad sobą panować — starała się moralizować, — w „twoim stanie" to ci może być szkodliwe. Mnie przerażasz czasem, taka jesteś szczęśliwa, w takich opływasz dostatkach, tak jesteś kochana, a nie umiesz tego cenić. Co ci jest? Czego ci brak? Zastanów się! Co sobie ludzie pomyślą, widząc cię zapłakaną, zmienioną.

— Co pomyślą? Że jestem ohydna! Przecie to i sama widzę w lustrze. Potworna jestem, sama sobą się brzydzę — och — i wszystko mi obrzydło. Niech mama mnie nie nudzi, jestem i bez mamy morałów najnieszczęśliwszą istotą na świecie!

— Maniusiu, przestań! grzeszysz ciężko, to mówiąc. Każdy ci losu zazdrości, masz wymarzoną dolę!

— Mam dość tego losu i doli — dość, dość! Nudzę się, nudzę, nudzę. Wszystko mi wsrętne! Ach, żeby umrzeć!

Pomimo tych wybuchów rozpaczy i zniechęcenia do życia, wzywała prawie codzień lekarza i lękała się, i drżała o swe zdrowie bezustannie. Bardziej jeszcze, niż o zdrowie, o wdzięki i formy. Zanudzała doktora pytaniami i prośbami o radę, nigdy nie była syta zapewnień, że zostanie piękną i zgrabną.

Były to niespokojne, denerwujące, ciężkie czasy dla Salnickiego. Bywał nawet w wincie roztargniony i nieuważny, mniej bystry w sprawach pieniężnych i widocznie się starzał.

Co prawda, mniej teraz się forsował, żeby udawać młodego, bo nie uważał tego za potrzebne. Zarębina ulokowała się na stałe u córki, czemu Salnicki bardzo był rad, bo czuł się zwolnionym od eskortowania i pielęgnowania żony, bardzo skwapliwie usunął się nawet z sypialni, ustępując miejsca teściowej, i pokazywał się w domu tylko w porze posiłków i rzadko wieczorem.

Zarębina napełniła dom batystami i koronkami, zajęta niby szyciem wyprawki dla wnuka. W rzeczywistości szyły szwaczki i hafciarki, ale „panie" miały okazyę „pracy," to jest sprowadzenia próbek, przerzucania magazynów, debatowania, targowania, przeglądania żurnali, narad i namysłów, co im zużywało tyle czasu i śliny, że bywały wieczorem kompletnie wyczerpane. Bywały sessye wszyst-

---

Trzeba chorobę przystosować do zapasów kieszeni i kwita...

Tak dziś u wszystkich. Stagnacya w interesach, więc i stagnacya w... leczeniu.

Mnóztwo oto naszych kupców i przemysłowców, którzy już o tej porze dawniej z dobrze wypchanemi portfelami jechali gdzieś daleko po za Warszawę leczyć pracą skołatane nerwy, tego roku zapomnieli jakoś o defektach organizmu, siedzą na rozpalonym bruku, jak trusie, i pilnują, żeby się „interes" nie wywrócił.

Bo co tu wiele gadać, jest źle i koniec. Protesty wyrastają, jak grzyby po deszczu, upadłości mnożą się zastraszająco. Każdy z większych przedsiębiorców, taki ślusarz, stolarz czy lakiernik, który zawarł większy kontrakt przed wojną, a co ważniejsza przed strajkami i wywołaną przez nie podwyżką cennika roboczego — dawniej, jeśli zarabiał na tem 1,000 rubli okrągłe, obecnie jest kontent, gdy się wywinie z 200 lub 300-rublowym deficytem z całego kawału. To też tyle już solidnych firm, któreby w normalnych czasach spokojniutko egzystowały jeszcze lata całe, obecnie nakrywają głowę nogami i wykonawszy niewłasnowolnie takie *salto mortale*, przenoszą się *ad patres*...

Więc gdzie tu w czasach takiego pognębienia myśleć o leczeniu się! O, bo strach jest także jedną z metod lecznictwa! Tylko my ją rzadko stosujemy. Czasami jednak z konieczności trzeba. Jak obecnie właśnie...

Niemniej ród słomianych wdowców nie wymarł w zupełności. Kto oni?... Zobaczmy w encyklopedyi. Czytamy:

„Jasne nankinowe ubranie, kapelusz „panama," trzewiki prunelowe, fontaż fularowy i krzyczący pod szyją, oczy roziskrzone, dużo pragnienia w gardle i resztki floty, zmobilizowanej w pugilaresie. Przebywa gromadnie, o ile chodzi o „pojenie" się „jasnem" stryckiem i „pilznerkiem z antałka," we dwójkę zaś i to w „dżunglach" gabinetów, o ile chodzi o uciechy zakazane, o których przed żoną ani mru-mru...

„Cierpi często na kociokwik i na poplamienie swej jasnej pikowej w kwiateczki kamizelki, nic sobie nie robi z *ischias* w kolanie i z listów żoninych, na szafeczce nocnej lokowanych, uprawia operetkę w „Renaissansie" czasami, występy Kamińskiego w Filharmonii zawsze, także częste zastępstwa w biurze i spóźnianie się stale na kolejkę, ilekroć chodzi o odwiedzenie żony, bawiącej na willegiaturze podmiejskiej. Za to niesłychanie sumiennie pilnuje kolejek z „pianką" à la grzybek na bombce w dobranem kółeczku, takiem co to... tego..."

Oto sylwetka mniej więcej przeciętnie wierna wdowca słomianego. W każdym razie aktualna ogromnie.

Sylwetka letniczki?... Tu mi szczerość stanowczo nie dopisze. Wolę słodkie czytelniczki odesłać do Zapolskiej i jej powieści p. t.: „Miłość sezonowa," która tyle wrzawy nienawistnej wywołała specyalnie w Warszawie.

Bo Warszawianeczki to kokiety na willegiaturze straszne. W Jabłonnie, Wawrze czy Urlu teren nie duży, więc i potyczki erotyczne tam się rozgrywają bardzo miniaturowe, ale Krynica, Szczawnica, Rabka, Zakopane... Toż to używanie bogate i słodkie!...

Płci piękna, z Warszawy się wywodząca!... Nie urągam, ale ty, Warszawianko, jako kuracyuszka, masz już ustaloną markę. W takiej Krynicy, Zakopanem, ach... Dybie na ciebie Don Juan-kuracyusz, krąży koło cię niby lew, szukając, gdzieby posiadł cukier ust twoich i ogrzał stygnącą pobudliwość wrażeń ciepłem twych rączek... niby niewinnych i zakazanych, a raj obiecujących i tak nierzadko go... otwierających...

Nie urągam, nie moralizuję, tylko w stronę mężów zdradzanych półuśmiech filozoficzno-rezygnacyjny posełam, a zdradzające o mniej reklamy na temat swych podbojów sezonowych proszę...

Bo nią sobie same najwięcej szkodzą. Choć to „szkodzenie sobie" przychodzi zazwyczaj tak przyjemnie, tak niewinnie, miło... jednak lepiej nie...

Parol.

kich ciotek i kuzynek niekiedy, w ważniejszych kwestyach, np. czy czepeczki mają mieć hafcik, czy koronkę i jaką, lub czy hygieniczniejsze płótno, czy batyst.

Czasami wzywano nawet Salnickiego do rady, ale on zawsze był zdania, że najlepsze to, co najdroższe — zaś kobiety to oburzało bo ich zasadą było, żeby wszystko było jak najtańsze i w jak najlepszym gatunku.

Dlatego to Zarębina brała często dorożkę i jeździła parę godzin po całem mieście, w celu odtargowania trzech groszy na łokciu koronki i zawsze wracała z tryumfem, że „nie dała się wyzyskać,“ i miała ustaloną opinię, że nikt tak tanio, jak ona, nie kupuje.

Opowiadano cuda o tej wyprawce spodziewanego potomka Maniusi, i odwiedzające panie oglądały z zawiścią te pajęcze, miniaturowe stroje i wymysły.

Naturalnie, wszyscy w rodzinie, nie wyłączając Maniusi, chcieli syna, i ogólna była radość, gdy się urodził dziedzic rodu Salnickich, którego z wielką pompą ochrzczono imieniem Bolesława. Dziecko przyszło na świat wątłe i chorowite, z nieforemną głową i pajęczemi członkami.

Doktorowie zdecydowali, że matka karmić nie może, zaczęto więc szukać mamki i po kilku kandydatkach, wybór padł na jakąś Bronkę, dziewczynę importowaną z prowincyi od Zarębów.

Teraz już Zarębina na stałe osiadła u córki i objęła zupełnie rządy domowe w swe ręce.

Maniusia była temu rada, i gdy tylko wróciła do sił, zaczęła bawić się, wynagradzać sobie długie miesiące przymusu i nudy.

Piękność jej rozwinęła się całym blaskiem. Widziała to w lustrze i w oczach mężczyzn, którzy ją znowu otoczyli, zasypywali komplimentami śmiałemi, jako mężatkę, i dwuznacznikami wcale nie zagadkowemi. Z dniem każdym i ona stawała się śmielsza i zalotniejsza, bawiła się bez trwogi i skrupułu, była pewną swej cnoty, bo nikogo nie kochała.

Dziecko zajmowało ją zrazu, ale znudziło ją prędko i drażniło nawet. Było brzydkie, zawsze chore, grymaśne, otoczone służbą; bawić się z niem nie mogła, pochwalić się, nie było czem.

Po pewnym czasie prawie zapomniała o istnieniu syna, i zrzadka tylko zaglądała do niego, pochłonięta karnawałem, który w tym roku był wyjątkowo długi i świetny.

Biedny Salnicki był męczennikiem, nużyły go i nudziły bale, ale z bohaterstwem dotrzymywał placu żonie i spełniał jej wszystkie życzenia.

A Maniusia kompletnie szalała, upojona hołdami, powodzeniem, świetnością strojów i klejnotów. Cnotliwe matrony i brzydkie panny poczęły nią się gorszyć i obmawiać. Zaczęto wyliczać jej ofiary, szeptać o bardzo żywych sympatyach. Ale to był fałsz i zawiść. Maniusia kokietowała wszystkich, nie kochała żadnego i czuła się dumną ze swej cnoty i siły w tylu pokusach.

Zakończenie karnawału powitał Salnicki, jak wyzwolenie z ciężkiej pańszczyzny, Maniusia z wielkim żalem. On począł chodzić na winta wieczorami, ona się nudzić.

Dla zabicia czasu czytała powieści, rozpoczęła haftować ekran do kominka, uczęszczać na modne kazania i na operetki, ale wszystko to nie wystarczało; zmysły, rozigrane tańcem, bezsennemi nocami, flirtem, nie dawały się uspić i uspokoić, żądały wrażeń, wrażeń!

Miewała napady czułości dla dziecka, wtedy nosiła je na rękach, brała do łóżka, zacałowywała łakomie. Potem następował okres zniecierpliwienia i prawie niechęci.

— Mamo, on jest wstrętny, idyotyczny, patrzeć na niego nie mogę. Czy on zawsze będzie taki łysy, bezzębny, żółty? Pfuj — on mi przypomina swego ojca. Zabierzcie go!

— Maniusiu, ciszej. Służba posłyszy!—upominała Zarębina.—Biedaczek istotnie nie bardzo ładny, ale on z tego wyrośnie. Zobaczysz, drugi będzie inny!

— Drugi! — Maniusia zaśmiała się ironicznie.— Niema głupich! Pięć centymetrów przybyło mi w pasie! Nie myślę się dalej defigurować!

— Moje dziecko, będzie jak Bóg zechce!

— Et, niech mama głupstw nie prawi! Będzie, jak mnie się podoba. Ach, jak tu nudno!

Czasami dla rozrywki robiła scenę mężowi o byle co, ale gdy Salnicki, zamiast się spierać, na wszystko się zgadzał, przepraszał, stawał się podwójnie czułym i uległym, niecierpliwiło ją to i nudziło.

— Głupiec stary! — nazywała go w duchu pogardliwie, nie czując ani wdzięczności za dobroć tego człowieka, ani przychylności i życzliwości nawet, za to wszystko, co jej dawał, czem ją obsypywał.

(Ciąg dalszy nastąpi).

DUCH NAPOLEONA I-GO.

Noc śnieżna — burza. W półświetle księżyca
Ziemia pokryła całunem swe lica,
Jak blada nad ziemią chmura —
Równinę śnieżną smagają podmuchy,
Tumany śniegu wirują, jak duchy,
Mroźna je wzdyma wichura...

Nad niemi... widmo pokutne — czy mara?
Postać milcząca, cmentarna i szara,
Jak chmury wichrem rozdarte —
Na piersi ręce — oblicze zbyt znane!
Ten wzrok, to czoło obłokiem owiane:
To Bonaparte!...

To król zdobywców! To lew niezwalczony,
Co śmierć, kalectwa rozdawał — i trony,
Zwycięzca i postrach wroga —
Czem był? Czem został? Już pułków nie zbroi,
Już sąd mu ludzki jest niczem!... On stoi
Przed sądem — Boga!...

Jak czarne niebo!... Jak straszno! Jak mroźno!
Czynów spełnionych żałować — zbyt późno!
Jak źrą mu skroń — te wawrzyny!...
Spogląda księżyc w równinę, w step głuchy —
A wzdęte śniegi wirują, jak duchy,
A wieczność — patrzy z wyżyny!...

O!... Miłosierdzia! W śnieżycy obłoku
Pochód się trupi przybliża w półmroku —
Skrwawione szczątki człowiecze...
Ha! To nie ludzie! To ciał ludzkich strzępy,—
To „mięso armat,“ porwane przez sępy —
Krwią płynąc — pochód się wlecze...

Bez rąk... bez oczu!... Chrzęst słychać ich kości...
Bez nóg... lub wlokąc za sobą wnętrzności,
Suną śród śnieżnej zamieci...
A wiatr je smaga, a wilcy w ślad wyją —
A gwiazdy drżące za chmury się kryją,
A księżyc przez obłok świeci...

Wy zkąd? Z pod Moskwy. Wszak raz człek umiera—
Austerlitz?... Wagram?... Ach tak!... Sommo-Sierra?
Krew płynie... i ludzie... giną!...
Ci — z pod piramid wnętrzności przywlekli,
Męczeństwem groźni — krwią czarną ociekli —
Ci — z przejścia pod Berezyną!...

Ach — zewsząd!...
Idą!... W półświetle tam bladem
Drżący tłum niewiast podąża ich śladem
W rozpacznej bólu rozterce...
To matki!... Matki! Ich rany otwarte,
Gdyż każda niesie z swej piersi wydarte
Skrwawione — serce...

Ach idą! Idą!... A księżyc wciąż świeci...
Dalej... tam... dzieci!... Sierocy tłum dzieci!
Bezdomny! głodny! tułaczy!...
Na kogo tłum ten, ten zastęp sierocy
Zaniesie skargę przed Boga Wszechmocy
O!... Temu On nie przebaczy!...

Więc — drżąc za winy — przed Tym, który sądzi,
Zdobywca świata wśród chmur szarych błądzi
Wciąż — od zachodu do wschodu —
Gdyż dla monarchy laur jeden istnieje,
Laur najpiękniejszy: gdy nazwą go dzieje
Ojcem narodu.

Gdy hymn wdzięczności za krew oszczędzoną,
Za łzy otarte, dziękczynną koroną
Nad czołem błyśnie szlachetnem,
Zaiste — los to nad wszystkie wspaniały!
Miłość narodu — jest chwałą nad chwały
Zwycięztwem nad wszystko świetnem!...

Adela Koneczna.

ŻONY MĘŻÓW PRACUJĄCYCH.

IV.

ZBYTEK.

„A zbytek, co się tylko czczym pozorem chlubił,
„Okrasił nas powierzchnie, a w istocie zgubił.“

Krasicki.

Co właściwie zwie się zbytkiem?

Niezmiernie trudno znaleźć na to słowo określenie takie, któreby zarysowało miarę, odgraniczającą wydatki konieczne od zbytkowych, niezbędne od lekkomyślnie czynionych.

Nigdzie też nie jest tak łatwo przekroczyć ową linijkę niewidoczną, zwaną „potrzebą,“ jak w zarządzie domowym, w wydatkach drobnych, codziennych, nieuniknionych, rozlicznych, które jak roje komarów uprzykrzonych, ciągle otaczają „panią“ domu, brzęczą przypominaniem, iż trzeba tego do kuchni,

tego do bielizny, tego do zapasów kredensu, tego dla dziecka, tego dla męża, tego dla ciepła, tego dla hygieny i tak ciągle, tak bez końca, tak zawsze!

O, gdyby to odważyły się wszystkie „panie“ obliczyć z cierpliwością wydatki drobne, groszowe, takie minimalne, na które się nie zwraca uwagi, których się nie bierze wcale w rachubę, jakżeby ze zdumieniem spojrzały w oblicze tej liczby, któraby przed niemi urosła niespodzianie... I wtedy możeby nawet poznały, ile razy grzeszyły zbytkiem, zbytkiem tak ukrywającym się złudnie, iż ani pojęcia o jego istnieniu nie było, a jednak on podkopywał byt domu, on groził ruiną, on na ramiona pracującego męża obalał się ciężarem coraz cięższym.

Słusznie Naruszewicz przestrzegał:

„*Złoto* się samo strzeże, *miedź* wstrzymać należy,
Czerwony złoty siedzi, ale szeląg bieży.“

Bo i tak bywa istotnie.

Nad wydatkiem 10 — 20-tu rubli czasem się rozważa i rozmyśla. Na wyrzucenie 10-ciu groszy nie zwraca się uwagi. Lecz gdy się 100 razy wydało bez rozwagi 10 groszy, — zrobiono wydatek znaczny na rzecz nie mającą wartości.

— My żyjemy bardzo oszczędnie,—powiada „pani,“— odmawiamy sobie wiele przyjemności, nie chodzimy na bale, nie bawimy się...

Lecz równocześnie, odmawiając sobie wiele, wydaje taka osoba bardzo dużo, bo nie dogląda gospodarstwa domowego, nie wie, ile masła wyszło przez miesiąc, ile jaj zużytkowała kucharka przez tydzień.

I *zbytek* zakradł się cichaczem do kuchni i on tam straszne spustoszenie czyni, a „pani“ odmawiając sobie biletu do teatru, lub gazety do czytania, nie wie, ile więcej wydała nad to, coby ją były kosztowały tamte wydatki przy dobrym zarządzie domu.

— Czasy są ciężkie,—mówi inna dama,—ja dobrze to czuję, nie wyjeżdżałam już z dziećmi dwa razy do kąpiel, choć to było dla nich bardzo potrzebne.

Tymczasem, nie wie owa „pani,“ iż gdyby była na strojenie swoje i dzieci mniej wydała przez jeden rok, starczyłoby to na poratowanie zdrowia, na wypoczynek przyjemny i na zadowolenie moralne.

Ale wydatki owe robiło się bez planu, bez budżetu, a co najgorsze nieraz i bez potrzeby. Jakiś kapelusik na wystawie wpadł w oko, ładny, zgrabny, kosztował tylko 6 rubli, toż drobnostka, bagatela, więc kupiono go, chociaż Zosia miała dwa kapelusze wyborne. Niespodzianie, nagle, dostały dzieci po piątej sukience tej wiosny, ale tak piękna materya zjawiła się w handlu, resztka była, kupiec zniżył cenę znacznie, więc razem wyniosły te sukienki... zaraz... 24 ruble, szwaczka 8, dodatki... nie wiem dobrze...

Ale gdyby jakiś duszek bardzo rozmiłowany w dodawaniu chodził za taką mamusią ciągle i szeptał jej: — tyle wydałaś, tyle wydałaś!—zbladłaby pewno i ręce załamała, wołając:

— Jakto?... tyle?

Tak, dobre „panie,“ — 100, 200 rubli nie wyda się łatwo, ale 2 — 3 — 4 złote te się rzuca bez namysłu i potem nie ma na to, co potrzebne, co konieczne.

Ludzie sądzą zwykle, że *zbytek*, to brylanty, aksamity, jedwabie, ekwipaż, lokaj, bal i t. d.

A tymczasem i jedno ciastko w cukierni kupione wtedy, kiedy na niego nie było grosza, jest zbytkiem. Zbytkiem jest każda rzecz lekkomyślnie kupiona, wtedy, kiedy jeszcze nie wszystkie niezbędnie *potrzebne* rzeczy zostały nabyte.

Zbytkiem jest mieszkanie droższe o 10 rubli miesięcznie, jeśli się je tylko dla tego brało, ażeby mieć balkon. Nie będzie zaś *zbytkiem* choćby o 30 rubli droższe mieszkanie, jeśli szło o słoneczny pokój dla dzieci. Między potrzebą a grymasem jest zasadnicza różnica.

Nie będzie zbytkiem wiosenna toaleta, gdyż potrzeba zmusza do jej nabycia, ale będzie ona zbytkiem wtedy, jeśli będzie kupiona więcej dla effektu mody, jak dla praktycznego noszenia, bo będzie to już wydatek kaprysu, a nie pożytku...

Tak przechodząc szczegóły za szczegółami, moglibyśmy wiele o tem mówić.

Żony urzędników, niezmiernie dużo muszą poświęcić czasu na to, ażeby w wydatkach umiały skreślić pozycye „zbytku,“ natomiast powiększyły „potrzeb“ rubryki.

Bo żony urzędników, mieszkające zawsze po miastach, narażane są stokroć łatwiej na wydatki bezpotrzebne, na naśladownictwo czczej mody, na „zbytki“ chociaż drobne, jak owe panie, które mieszkają po wsiach.

Miasto jest, jako otchłań, otwierająca sto paszcz żmija na to tylko, by schwycić grosz i porwać go jak najrychlej.

Wszystkie wystawy sklepowe są, jako lep na muchy; wszystkie wabiki nęcące przechodniów po to są tylko, ażeby wzamian za jakąś rzecz chwycić grosz. Dla tego ludzie po miastach mieszkający wiecznie są w gonitwie o pieniądze, a tylko wyjątkowo silne i ostrożne charaktery zdołają utrzymać tu równowagę przychodu z rozchodem.

W jednych domach, wydają za wiele na wikt, więc brakuje im na cele naukowe.

Cóż ważniejsze i korzystniejsze?

W innym domu wydają za dużo na stroje braknie potem na kuchnię i odżywianie liche wycieńcza organizm.

Gdzież zbytek a potrzeba?

W tym domu wysadzają się na przyjęcie gości, a bielizna jest w opłakanym stanie.

Tam znów używają rozrywek po rautach, koncertach i festynach, a w domu zaniedbanie, opuszczenie, meble podarte, nakrycie nieestetyczne...

Czy jeszcze nie wiemy, gdzie granica potrzeby a zbytku?...

Wtedy wolno użyć grosza na wydatki upragnione, jeśli wszystkie potrzebne wydatki zostały uczynione.

Wtedy „pani“ domu jest istotnie dobrą szafarką grosza przez męża zapracowanego, jeśli układa budżet całoroczny z początkiem roku ogólny, a szczegółowy każdego miesiąca, jeśli osobną rubrykę ma na odłożone i zaoszczędzone grosze, jeśli na „nieprzewidziane“ zawsze małą sumkę odłoży, jeśli zaś, co najważniejsze, summy owego planu wydatków nie złamie.

Bo to nic znów łatwiejszego nad chęci dobre, a nic znów trudniejszego nad wytrwanie. Są „panie,“ które rade być oszczędne i gospodarne, zaczynają tak dobrze czynić sto razy i sto razy nie wytrwają.

Nicolay, w znakomitem swojem dziele, p. t. „Dzieci źle wychowane,“ powiada:

— „Jeśli nikt nie zacznie od dania przykładu *prostoty i oszczędności*, to nigdy nie powściągnie się *zbytku*, przeciw któremu wszyscy deklamują, a nikt nie oddziaływa skutecznym czynem.

— „W rzeczywistości tak bywa, iż gdy się znajdą *dwie* lub *trzy* osoby *zamiłowane w zbytkach*, pociągną za sobą *cały szereg rodzin*, co bynajmniej nie przeszkadza, iż ci sami skąpią kawałka chleba nędzarzom.“

Istotnie też tak jest. Wśród świata urzędników wytworzył się jakiś dziwny, sztuczny ton „pańskości“ na każdym kroku, jakaś atmosfera zbytkowności, od której zdaje się niepodobnem już jest wycofać się. *Nad stan* życie, to choroba zaraźliwa i niczem jeszcze nie leczona.

Grosz ciężko zapracowany przez mężów i ojców, rozrzucany bywa na wydatki, nie mające nowej jednodniowej wartości, a o oszczędzaniu, składaniu grosza na nieznane jutro, mowy niema.

Dwie lub trzy osoby, jak powiada Nicolay, pociągnąć zdołają za sobą cały szereg rodzin, lecz nawet więcej, całe miasto nieraz za sobą wloką takie „panie,“ które zadają szyku modą, stroją się, flirtują, bawią i zbytkiem, jak ospą zarażają.

Czyż nie zdarza się tak często, iż tej, albo tamtej ani śniło się o nowej sukni — raptem „pani“ X zjawiła się w modnej i dziwacznej toalecie. Dalejże pół miasteczka musi mieć takie suknie, rękawy, falbany.

Czy to nie *zbytek?*

U tej lub owej „pani“ ujrzano „salon“ na nowo tapetowany, ustrojony w jakieś chińsko-japońskie osłony i ozdoby, dalejże starać się czemprędzej, żeby i u nas coś takiego było...

Lecz niema tej pochopności w zadaniach poważnych i pożytecznych. Jeśli owa „pani“ zacznie pracować dla oświaty lub otarcia łez biednym, nie palą się serca ogniem naśladownictwa, ale jeśli w tym domu dają herbaty tańcujące, — rychło muszą być i u innych.

Pamiętam białego, jak mleko, dziadunia który na wszystko, co u nas młodych obaczył, powtarzał zawsze: „Zbytki! zbytki!“ Śmieliśmy się czasem z tego, bo i na jakąś nową potrawę do stołu podaną, rzucał dziadunio wyraz „zbytki,“ choć nic tam zbytkownego nie było. Lecz dziś, gdy już patrzę okiem poważnem na otaczające mię życie, poczynam jak białowłosy dziadunio, nieraz powtarzać:— „zbytki,“ bo widzę i poznaję, ile jest rzeczy zaniechanych i zaniedbanych dlatego, iż lekkomyślnie grosz bywa wyrzucany.

Prawdziwie, okrasza nas niby na zewnątrz forma pewnej estetyki przez zbytek wprowadzonej, wyściela on drogę życia jakoby puchowym dywanem, osłania od zbytnich upałów, od żarów słonecznych, ochrania od wichrów i mrozów, a jednak... obłudnie działającym jest wobec nas duchem, bo niby wio

dąc do szczęcia, tego szczęścia właśnie podwaliny burzy.

Skromność w urządzeniu życia, pozłota niewybredna, ubóztwo pełne wdzięku, roztropne kierowanie groszem zapracowanym, to są podstawy spokoju i zadowolenia, do nich całym zarządem domu prowadzić należy.

Stokroć milsze będzie życie temu mężowi, który mieć w domu będzie mniej kobierców i portyer, a nie zazna nigdy troski o wyrównanie długu sklepowego, jak temu, który mając dom „na wielką skalę," musi też i „na wielką" skalę procenta opłacać.

Lepsze charaktery wyrabiać się będą u tych dzieci, które nawykną w domu do niewybrednego życia, nauczą się zadawalniać małemi rzeczami, a miast lgnąć do zbytków, będą umiały cenić pracę drugich i ludzi za ich uczciwość a nie za ich bogactwo szanować.

— „Cóż znaczy ustrojenie nóg, ramion i całego ciała w złoto z zaniedbaniem głowy?" — pyta Trentowski, a z żalem rzec należy, iż wiele jest „pań," które właśnie troszczą się o strojenie nóg, ramion i całego ciała, a nie myślą o ubraniu duszy w zasady szlachetne i rozumne.

Przekroczyć miarę wydatków „potrzebnych" jest nader łatwo, ale wyrównać później ten niedobór, naprawić błąd raz uczyniony, czasem całego życia na to nie starczy.

Zaś żony urzędników, muszą o tem pamiętać zawsze, iż nadzwyczajnych dochodów mężowie ich nie miewają, zaś życie często żąda niespodzianych wydatków i na takie chwile potrzeba mieć jaki taki grosik odłożony.

Jadwiga z Z. Strokowa.

HISTORYA KOBIETY.

STUDYUM SPOŁECZNE

PRZEZ

Julię Terpiłowską.

(Ciąg dalszy).

KOBIETA SALONOWA.

Każda społeczność ludzka w każdym okresie swego bytu posiada swoje ideały tak społeczne i polityczne, jak estetyczne, towarzyskie i inne, do których życiową swą rzeczywistość dostraja. Więc ideał kobiecości ma także zawsze w pojęciach ogółu jakąś swoją modłę, według której w danym czasie urabiają się typy kobiece; bardzo zaś rzadko dzieje się odwrotnie, to jest aby wpierw okoliczności wytwarzały typ, a ten dopiero, narzucając się gustowi powszechnemu, aby stawał się wzorem wymaganych przymiotów.

Jak już widzieliśmy, ideałem niewieścim rycerskiego średniowiecza, była dama nadobna i cnotliwa, którą indemnizowano fikcyjną królewskością za abdykowanie z woli i rozumu, a która przystosowywała się do podawanego sobie wzoru zarówno starannością o podniesienie swej urody i dobrej sławy, jak niedbałością o wykształcenie umysłu i charakteru. Dalej widzieliśmy, jak w dobie Odrodzenia najwyżej stawioną zaletą kobiecego ideału był intellektualizm, i jak w skutek tego kobieta stroiła się przedewszystkiem w wykształcenie, aby zadowolnić umysłowo wybrednego towarzysza. Nakoniec widzieliśmy w okresie Reformacyi zdegradowanie kobiety pod względem rozumowym i cofanie się jej do dawniejszego poziomu, wskutek odsadzenia od udziału w sprawach konkretniejszego znaczenia, niż literatura i sztuka Renesansu. Teraz zaś zobaczymy, jak się w dobie przedrewolucyjnej wytworzył kobiecy typ przedostatni, ten, którego szczątki przetrwały okres Rewolucyi i żyją dotąd, bardzo powoli ustępując miejsca typowi najnowszemu — typowi spychającej kobietę *salonową* kobiety *uspołecznionej.*

Najdoskonalszy obraz intellektualnego transformizmu kobiety, przetwarzającej się stopniowo z uczonej humanistki w salonową wykwintnisię, przedstawia nam słynny w historyi literatury francuzkiej XVII-go wieku: „Hôtel de Rambouillet;" tam więc najpierw rzucimy okiem, aby oglądnąć sprawę ewolucyi omawianego typu.

Margrabina Katarzyna de Rambouillet, córka ambasadora francuzkiego w Rzymie, za Henryka IV-go, była najpiękniejszą i najhojniej wszelkiemi darami natury i dobrego wychowania obsypaną młodą damą paryzkiego dworu, na początku XVII-go w. Surowe zasady margrabiego i jej własna wysoka moralność sprawiły, że piękna markiza jak najmniej bywała na dworze, najpierw Henryka IV-go, następnie Ludwika XIII-go, gdzie byłaby wystawiona na zbyt natrętne zalecanki i, pod pozorem swego delikatnego zdrowia, jak najwięcej przesiadywała u siebie w domu, z którego urządziła sobie cacko i cudo wytwornego smaku. A że lubiła wyborowe towarzystwo i sama też była magnesem, do którego wszelka wyższość lgnęła, więc w krótkim przeciągu czasu pałac Rambouillet stał się najmodniejszem w stolicy „rendez-vous des beaux-esprits." Kto tylko miał rozum, naukę, talent, dowcip, wymowę, a po za tem wymaganą koniecznie przez margrabinę dobrą opinię, ten stawał się poufałym gościem słynnego błękitnego salonu, gdzie rozmawiano zawsze żywo i zajmująco o nauce bez pedantyzmu, o polityce bez sprzeczek, o sztuce i literaturze bez uprzedzeń, gdzie dowcip zaprawiał dyssertacye, uprzejmość łagodziła krytyki, wesołość nie dopuszczała pruderyi, a niezrównany takt pani domu umiał sprzeczne nieraz żywioły trzymać w karbach ogólnej życzliwości.

Ponieważ czasy Reformacyi ze swemi sporami i walkami wprowadziły do stosunków międzyludzkich pewną grubość mowy i szorstkość obejścia, przywracając tak niedawno i niecałkowie jeszcze przez humanizm obłupioną chropowatą korę zwyczajów średniowiecznych, przeto wykwintne kółko pałacu Rambouillet wzięło sobie za zadanie przeciwdziałać wszelkiemu prostactwu, wygładzając stosunki towarzyskie, oczyszczając język, polerując wszystko, co zgrubiało, lub zardzewiało.

Goście margrabiny należeli przeważnie do przodowników umysłowości swego czasu, imiona ich były popularnemi firmami literackiemi, więc kółko to stało się wkrótce dla szerszego ogółu powagą niemal akademicką, zwłaszcza zaś w sprawach dobrego tonu i dobrego gustu opinie pałacu Rambouillet stały się wyrocznemi. I wnet za danym impulsem w całej wyższej sferze towarzyskiej zapanowała wytworna dystynkcya w obejściu i wysłowieniu, konwersacya salonowa stała się kunsztem, łączącym dowcipną finezyę z głębszą treścią myślową, a wytworna maniera potocznej rozmowy przechodziła do literatury, nadając świetność i giętkość stylowi francuzkiemu.

Pani de Rambouillet urodzona w Rzymie, z matki Włoszki znakomitego rodu, chowała się jeszcze w tradycyach humanistycznych, posiadała gruntowne, wszechstronne wykształcenie, i sąd wyrobiony o najpoważniejszych kwestyach. Współczesne jej panie były tak samo jeszcze potroszę humanistkami, a posiadały samodzielne poglądy i przekonania do tego stopnia, że, jak to widzimy z historyi francuzkiej, z czasów małoletności Ludwika XIV-go, wiele z nich przyjmowało żywy i wpływowy udział w starciach stronnictwa liberalnego z absolutnem podczas tak zwanej Frondy. Ale gdy rozruchy wewnętrzne uspokoiły się ostatecznie, gdy wraz z Ludwikiem XIV-ym dorosło współczesne mu pokolenie, i prześwietny dwór „króla-słońca" zaczął ton nadawać wszechświatowej cywilizacyi, kobieca uczoność i samodzielność umysłowa stawały się rzeczą coraz bardziej *w złym tonie.*

To też już córki Katarzyny de Rambouillet i ich rówieśnice, chociaż otrzymały gruntowne wykształcenie, jednak stosując się do nowych pojęć, uważały za warunek dobrego wychowania kobiecego ukrywać poważniejszą wiedzę, jakby coś niestosownego, starając się świetnieć głównie lekkim dowcipem i wykwintną ogładą. Gdy czytamy w listach i pamiętnikach z owego czasu panegiryki niepospolitych kobiet, uderza nas w nich zwykły dodatek, uważany za konieczny rys pochlebnego portretu, że „posiadała ona wiele wiadomości naukowych, ale tak ich nigdy nie okazywała, że niktby się tego nie mógł domyśleć." Trudno przypuszczać, że się to działo przez jakąś niezwykłą w ludzkiej naturze skromność; bo przecież każdy chętnie wtrąca w rozmowę to, co wie i co umie, i jeżeli rzecz się nie robi dla popisu, lecz dla wymiany myśli, to jest nie tylko nie naganną, lecz bardzo dla ludzi kulturalnych w obcowaniu przyjemną. Otóż skoro te panie chowały tak swoją uczoność, jak Turczynki swe oblicze, pochodziło to tak samo nie z chęci ukrycia rzeczy pięknej, lecz dla dogodzenia wymaganiom władcy seraju. Wiedziała dobrze o tem kobieta poważniejszej wiedzy, że gdyby odezwała się w towarzystwie na przykład z twierdzeniem matematycznem, albo sentencyą łacińską, albo poglądem społecznym, wnet któryś z akcyonaryuszów trustu na te wszystkie objekty—jaki literat, akademik, czy też po prostu, jaki mniej lub więcej wykształcony mężczyzna skomponowałby na nią epigrammacik, wielbiąc jej wdzięk, polor, dowcip, wszystko, co dama mieć powinna, a wśród tych kwiatków uciąłby ją, jak osa, złośliwy

żarcik na temat tego, czego dama mieć nie powinna, jeśli chce być uważaną za bóztwo, nie za professora.

Ulegając temu naciskowi męzkiej opinii bez świadomości o tem, co w niej tkwi na dnie, z czego zresztą sami mężczyźni nie zdawali sobie sprawy, kobieta XVII-go wieku urabiała się coraz bardziej według męzkiego jej ideału z owej doby; w nagrodę zaś za to, kobieca próżność napawać się mogła do odurzenia wonnemi kadzidłami dworskości.

Średniowieczna bowiem *rycerskość* stała się teraz *dworskością*. Jak niegdyś mężny wojak wielbił piękną damę orężnemi dziełami lub występkami, tak teraz układny dworak komplimentował ją okrągłym frazesem lub zręcznym rymem, hołd jej składając nie wyzwaniem w szrankach, lecz madrygałem w salonie. A jak wówczas estradą i tronem kobiety były turniejowe krużganki, tak teraz tem samem stały się dla niej towarzyskie salony, gdzie berła panowania nie dawała już tylko uroda, lecz przedewszystkiem konwersacya. Ta stała się teraz areną popisu dla lekkiego dowcipu, dyskretnej zalotności, błyskotliwej frazeologii, zlekka okraszonej literackim dylletantyzmem; w tem teraz najbardziej smakował dwór,—sfera w tym okresie kulturalnie przodownicza,—tem się delektował wyrafinowany dworzanin, kwiat towarzystwa wyższej sfery, to budziło admiracyę, robiło konkiety, zdobywało attencye wyszukanej dworskości. I stał się ów kunszt konwersacyjny najulubieńszą przyjemnością oświeconych ludzi złotego wieku Ludwika XIV-go. Politycy, statyści, akademicy, odbywszy swe poważne prace i uczone pomiędzy sobą rozprawy, biegli orzeźwić się salonową rozmową, jak musującym szampanem, zelektryzowani tem najbardziej, że im ten specyał podaje istota wabna i nęcąca, w sam raz na tyle rozumna, aby dostarczyć łatwej, intellektualnej rozrywki w dobrym guście i wyższym tonie, a w sam raz na tyle naiwna, aby przyjmować za dobrą monetę poddańcze hołdy i królewskie tytuły.

I tak po raz drugi zrobiono z kobiety królowę-maryonetkę, z tą wszakże różnicą, że tym razem stanęła umysłowo o stopień wyżej, musiała mieć dużo intelligencyi, powierzchownej wprawdzie i jednostronnej, ale żywej i bystrej, bo inaczej nie byłaby zabawną, a o to tylko chodziło.

Bawiono się więc znakomicie w tych stylowych salonach białozłotych i jasnoniebieskich z girlandami amorków u sufitu i wymuskanemi pasterkami na obiciach, bawiono się tak intellektualnie i dystyngowanie, jak nigdy jeszcze, a wewnętrzną maszyneryą, nadającą tyle werwy tym wykwintnym igraszkom, była tak zwana wówczas galanterya—dzisiejszy flirt. Minęły bezpowrotnie szczere zalecanki rycerskiego zucha do spłonionej dziewy i romantyczne egzaltacye rozmiłowanego w niedościgłej gwiazdce trubadura: naturalne pociągi stały się grą towarzyską, serdeczne uczucia tematem stylowym, miłość przestawała być żywiołową siłą, stawała się drażniącą narkozą, aż z pod aksamitnej maseczki galanteryi zaczęła coraz wyraźniej przeglądać ustrojona w hipokryzyę konwenansu demoralizacya.

Ale o tem jeszcze później, — teraz wróćmy do pałacu Rambouillet.

(Ciąg dalszy nastąpi).

G. FLAUBERT.

LEGENDA
O ŚWIĘTYM JULIANIE GOŚCINNYM.

(„La Légende de St.Julien l'Hospitalier“).

tłóm. **M. Pankiewiczówna.**

(Ciąg dalszy).

Potem zapuścił się w aleję wielkich drzew, wierzchołki których tworzyły jakby bramę tryumfalną, prowadzącą do boru. Sarna wybiegła z zagajnika, jeleń wyszedł na ścieżkę, borsuk wyjrzał z jamy, paw roztoczył ogon swój na trawie. Gdy je już Julian pozabijał, zjawiły się inne sarny, inne jelenie, borsuki, pawie, szczygły, kosy, tchórze, lisy, jeże, żbiki — nieskończona moc zwierząt. Coraz liczniej biegały one w koło, patrząc na Juliana wzrokiem słodkim i błagalnym. Lecz on, to prężąc łuk, to wyciągając miecz z pochwy, lub uderzając kordelasem, zabijał wciąż niezmordowanie, bez myśli, bez pamięci. Był na polowaniu — lecz gdzie, od jak dawna, nie wiedział, swego tylko istnienia mając świadomość, wszystko zaś działo się z taką dziwną jakąś łatwością, jak to bywa tylko we śnie. Niezwykły widok wstrzymał Juliana: była to okrągła dolinka, pełna jeleni; poprzytulane jedne do drugich, ogrzewały się one nawzajem swym oddechem, który widać było w powietrzu.

Nadzieja podobnej rzezi napełniła Juliana radością. Zsiadł z konia, zakasał rękawy i zaczął strzelać.

Na świst pierwszej strzały wszystkie jelenie odwróciły głowy. W tłumie zaczęło się coś łamać, żałosne głosy dały się słyszeć, i ruch wielki wstrząsnął stadem.

Brzeg dolinki był za wysoki, by go mogły przeskoczyć, zaczęły więc biegać po niej, szukając wyjścia. Julian celował, strzelał, pociski padały, jak strumienie deszczu podczas burzy. Oszalałe ze strachu jelenie biły się, wspinały, wskakiwały jedne na drugie, ciała ich i rogi splątały się i tworzyły wysoki ruchomy pagórek.

Nakoniec zwaliwszy się na piasek, z pianą u pysków i powydzieranymi jelitami, wyzdychały co do jednego; drgania ich ciał zwolna ustały, ucichło wszystko.

Noc się zbliżała; z za boru, po przez gałęzie przeglądało krwawe niebo.

Julian wsparł się o drzewo; szeroko rozwartymi oczyma spoglądał na dokonany pogrom, nie rozumiejąc, jak mógł to uczynić.

Po przeciwnej stronie doliny spostrzegł jelenia z łanią i koźlęciem.

Czarny ten jeleń był wzrostu olbrzymiego, miał szesnastokrotnie rozgałęzione rogi i białą brodę; łania o sierści jasnej, koloru zeschłych liści, skubała trawę; plamiste koźlę, idąc za matką, ssało jej wymię.

Łuk raz jeszcze zawarczał: koźlę padło. Łania, patrząc w niebo, ryknęła głosem wielkim, rozdzierającym, ludzkim prawie. Rozdrażniony Julian strzałą w pierś położył ją na miejscu.

Olbrzymi jeleń, widząc to, skoczył. Julian posłał mu ostatnią swą strzałę; trafiła go ona w czoło i pozostała tam, sterczą.

Jeleń zdawał się nie czuć jej zupełnie; skacząc przez trupy, zbliżał się do Juliana, gotów roznieść go na rogach. Julian cofał się, zdjęty niewymowną trwogą. Cudowne zwierzę przystanęło i uroczyście, jak patryarcha lub sędzia, wyrzekło trzykrotnie te słowa:

— Przeklęty! przeklęty! przeklęty! Nadejdzie czas, okrutniku, że zamordujesz ojca i matkę twoją!

W oddali dźwięczał dzwonek. Jeleń osunął się na kolana, zamknął oczy i padł.

Julian stał przerażony; nagle ogarnęło go zmęczenie, obrzydzenie i smutek niezmierny. Z czołem w dłoniach płakał długo.

Koń przepadł, psy zniknęły; otaczająca pustka pełna była nieokreślonych niebezpieczeństw. Gnany trwogą puścił się Julian przez pola, wybrał na los szczęścia pierwszą lepszą napotkaną ścieżkę i w tej samej prawie chwili był już u bram zamku.

Tej nocy nie spał wcale. Przy migotliwem świetle wiszącej lampki majaczył mu się ciągle olbrzymi jeleń czarny. Przepowiednia prześladowała Juliana, buntował się przeciw niej. „Nie, nie, ja nie byłbym w stanie ich zamordować!“ Później pomyślał: „A gdybym jednak zechciał“— i zląkł się, by szatan nie natchnął go tą chęcią.

Przez trzy miesiące matka w trwodze modliła się u jego łoża, a ojciec, wzdychając, przechadzał się po kurytarzach zamku. Posłano po najznakomitszych lekarzy, ci przepisali leki najrozmaitsze. Choroba Juliana, zdaniem ich, pochodziła od zawiania złym wiatrem, lub z pożądania miłosnego. Młodzieniec jednak na wszystkie pytania odpowiadał przecząco.

Zaczęły mu powracać siły; wyprowadzano go na podwórze zamkowe, a dobry kasztelan i stary mnich podtrzymywali go z obu stron.

Wyzdrowiawszy, przestał Julian polować zupełnie.

Ojciec, pragnąc go ucieszyć, podarował mu wielki miecz saraceński.

Był on zawieszony u jednej z kolumn, gwoli ozdobie sali i trzeba było drabinki, by się doń dostać. Julian wszedł na nią, ciężki miecz jednak wysunął mu się z rąk i padł tak blizko dobrego kasztelana, że przyciął mu kraj szaty.

Julian w przekonaniu, że zabił ojca, zemdlał.

Od tej chwili czuł wstręt do broni, bladł na widok nagiego oręża, a słabość taka napełniała rozpaczą całe otoczenie.

Nakoniec stary mnich w imię Boże wezwał go, by przez pamięć na honor i cześć przodków, powrócił do zajęć, godnych rycerza.

Giermkowie zabawiali się codzień rzucaniem dzirytu; Julian doszedł w tem prędko do wielkiej wprawy; rozbijał dzirytem szyjki butelek, chorągiewki na dachu, o sto kroków trafiał w gwoździe we drzwiach.

Pewnego letniego wieczora o szarej godzi-

nie, gdy trudno już było rozróżniać przedmioty, spostrzegł Julian dwa białe skrzydła, unoszące się nad sadem. Nie wątpiąc, że był to bocian, rzucił weń dzirytem.

Krzyk rozdzierający przebił powietrze.

Była to matka Juliana; szerokoskrzydły jej czepiec wisiał, przybity do muru.

Julian zniknął z zamku bez wieści.

II.

Przystał do spotkanej po drodze gromady awanturników.

Poznał, co głód, pragnienie, choroby i robactwo; przywykł do zgiełku bitew i widoku umierających. Wiatr wysuszył mu skórę; pod uciskiem zbroi stwardniały członki; że zaś był niezwykle mocny, odważny, umiarkowany a rozsądny, bez trudu przeto został dowódcą jednego z oddziałów.

Od początku bitew umiał porywać za sobą żołnierzy, wznosząc miecz potężnym ruchem. Nocą, podczas szalonego wichru wdrapywał się na mury warowni przy pomocy sznura z węzłami; płomyki ognia greckiego lizały mu zbroję, a roztopiony ołów i żywica lały się nań z góry. Nieraz zrzucony kamień roztrącił mu tarczę. Zarywały się pod nim przeciążone ludźmi mosty. Kolistem cięciem czekana zwalił raz czternastu jeźdźców. Wyzywał na walkę każdego, kto się tylko nadarzył. Miano go za zabitego więcej, niż dwadzieścia razy.

Dzięki łasce Bozkiej, wychodził zawsze cało w tych opałów, opiekował się bowiem duchownymi, sierotami, wdowami, szczególnie zaś starcami. Widząc przed sobą kupca, wołał nań, by spojrzał mu w twarz, jak gdyby w obawie jakiejś pomyłki.

Wszelkiego rodzaju śmiałkowie, zbiegli niewolnicy, chłopi zbuntowani, synowie wydziedziczeni, ciągnęli pod sztandar Juliana, tak, że z czasem utworzyła się z nich prawdziwa armia. Wojsko to wciąż się zwiększało, Julian stawał się sławnym; ubiegano się o niego.

Zdarzało mu się przychodzić z pomocą francuzkiemu Delfinowi lub królowi Anglii; to znów popierał Templaryuszów z Jerozolimy, księcia Partów, negusa Abisyńskiego, czy też władcę Kalkuty. Bił odzianych w rybie łuski Skandynawów, Negrów, którzy noszą okrągłe tarcze ze skóry hipopotama, a jeżdżą na czerwonych osłach, Indusów o złotawej skórze i lśniących bardziej od szkła szerokich szablach, któremi wywijają nad głowami, ustrojonemi w dyademy. Zwyciężał Troglodytów i Antropofagów. Bywał w krainach tak gorących, że od ognia niebieskiego włosy ludzkie zapalały się, jak pochodnie, i tak lodowatych, że ręce z zimna odrywały się od ciała i zostawały na ziemi; poznał strony tak mgliste, że chodziło się tam, jak wśród duchów i cieni.

Rzeczypospolite pytały go się o radę w potrzebie; jako poseł osiągał warunki pomyślne nad wszelkie spodziewanie. Gdy monarcha jaki rządził źle, Julian zjawiał się nagle, by mu udzielić nagany. Obdarzał wolnością ludy; wyzwalał uwięzione królewne. On to, a nie kto inny, uśmiercił poczwarę Medyolańską i smoka z Oberbirbachu.

W on czas cesarz Okcytański, pobiwszy Maurów, pojął za żonę siostrę kalifa Kordowy i miał z nią córkę, którą wychowywał w wierze chrześcijańskiej. Kalif, udając chęć nawrócenia się, nadciągnął z liczną eskortą, wyciął w pień załogę zamku, a cesarza wtrącił do lochu, obchodząc się z nim bez litości, i trzymał tam w nadziei wyłudzenia wielkich skarbów.

Julian pospieszył na pomoc: zniszczył wojsko niewiernych, obległ miasto, zabił kalifa, ściął mu głowę, i jak kulę, wyrzucił za mury. Poczem uwolnił z lochu cesarza i w obecności całego dworu osadził go na tronie.

W nagrodę za takie zasługi, ofiarował mu cesarz mnóztwo koszów z pieniędzmi. Julian odmówił. Myśląc, że żąda więcej, chciał mu cesarz darować trzy czwarte swych skarbów, znowu spotkała go odmowa; połowy państwa nawet nie zgodził się Julian przyjąć i król płakał już prawie z gniewu, nie wiedząc, czem mu się odwdzięczyć, gdy nagle uderzył się w czoło i szepnął coś do ucha jednemu z dworzan. Rozsunęły się opony i ukazała młoda dziewica.

Wielkie czarne jej oczy błyszczały, jak łagodne światła dwóch lamp; czarowny uśmiech rozchylał jej wargi. Pierścienie włosów czepiały się klejnotów, zdobiących jej na pół otwartą suknię, a pod przeźroczystą szatą czuć było świeże, młode ciało. Kibić miała wciętą, a cała była śliczna i pulchna.

Julian był olśniony, tem bardziej, że żył do tej chwili w zupełnej czystości.

I tak otrzymał za żonę córkę cesarską, a z nią zamek, który miała po matce. Po weselu rozstano się, wymieniwszy nawzajem niezliczone grzeczności.

Pałac, w którym zamieszkali, zbudowany był w stylu maurytańskim z białego marmuru, leżał zaś na małym przylądku, wśród pomarańczowych gajów. Kwieciste tarasy spuszczały się aż do brzegów zatoki, gdzie chrzęściły pod stopami różowe muszelki. Za zamkiem roztaczał się w kształt wachlarza wielki bór. Niebo było tam wiecznie lazurowe, a wierzchołki drzew pochylały się to pod wiatrem z morza, to pod powiewem górskim ze szczytów, zamykających widnokrąg.

Cieniste komnaty zapożyczały światła od inkrustacyi w ścianach, wysokie, cieńkie, jak trzcina kolumny, podtrzymywały sklepienia kopuł, zdobne rzeźbioną imitacyą stalaktytów.

W salach igrały fontanny; dziedzińce wyłożone były mozaiką, ozdobne girlandami ogrodzenia i tysiączne upiększenia urozmaicały architekturę zamku, a wszędzie panowało milczenie tak głębokie, że można było słyszeć szelest wstążki lub echo westchnienia.

Julian zarzucił już boje. Odpoczywał pośród spokojnego ludu, a codzień przechodziły przed obliczem jego tłumy poddanych, uginając kolana i całując mu ręce wschodnim obyczajem.

Odziany w purpurę wspierał się o framugę okna i przypominał sobie dawne polowania; o jakżeby chętnie ścigał po pustyni gazele i strusie; jakżeby chciał ukryty wśród bambusów, czatować na lamparta, przedzierać się po przez pełne nosorożców knieje, wdrapywać się na szczyty niedostępnych gór, by mierzyć do orłów, lub na lodowatych morzach walczyć z białymi niedźwiedziami! (C. d. n.).

Przegląd teatralny.

Teatr łódzki w Filharmonii.— Olbrzymi repertuar.—Artyści łódzcy. — P. Duninówna. — Jej „Psyche“ i Jakóbina w „Półdziewicach.“— Występy gościnne.— Siemaszkowa: D'Annunzio i Ibsen. — Mrozowska. — „Przełom“ K. Krzyżanowskiego.— Sulima.— Zelwerowicz.—Kamiński.— Teatr Letni. — „Komandor“ Kozłowskiego.— Teatr polski na Litwie i Rusi.

Od dwóch miesięcy gości w Warszawie teatr łódzki. Siedzibą tego przybytku sztuki jest Filharmonia nasza, której prześliczną salę zamieniono na teatr bardzo dogodny i ładny. Wybornie urządzona wentylacya daje tyle świeżego powietrza, iż publiczność nie czuje wcale gorąca wieczorów letnich i spędza z zadowoleniem kilka godzin na przedstawieniu, wynosząc ztąd mnóztwo wrażeń artystycznych.

Teatr łódzki dostarcza Warszawie strawy duchowej w obfitości nadzwyczajnej. W ciągu dwóch miesięcy scena ta wystawiła ni mniej, ni więcej, tylko 26 utworów dramatycznych! Artyści pracowali z zapałem i jak najlepszym wynikiem zarówno moralnym, jak i materyalnym. Tworzą oni zespół zestrojony harmonijnie, stanowiąc całość prawdziwie artystyczną, obok wysokiego poziomu gry oddzielnych wykonawców.

Jedna właśnie ze stałych artystek sceny łódzkiej, p. Duninówna, zmierzyła się z dwiema najwybitniejszemi dziś aktorkami lirycznemi: p. Jadwigą Mrozowską i p. Maryą Przybyłko-Potocką. Stało się to w teatrze Letnim, w pięknej sztuce Żuławskiego: „Eros i Psyche.“ Każda z tych artystek odtworzyła postać Psyche odrębnie, w warunkach swoich indywidualności.

Gdy p. Mrozowska, jakby duch ludzkości, wcielonej w postać niewieścią, odbywa swoją metampsychozę z ogromnem poczuciem artyzmu malarskiego i rzeźbiarskiego, i uwydatnia intelligentnie na tle efektownej pozy i ruchu samą kreacyę Psychy; gdy p. Przybyłko-Potocka, podkreśla najsilniej uczuciowe rysy roli i zdobywa się na ekspressyę nawet dramatyczną, może nawet za silną i za jednostajną w napięciu; — p. Duninówna była najbliższa ideału Psychy i potrafiła utrzymać najkonsekwentniej ze wszystkich charakter odtwarzanej postaci. W grze artystki łódzkiej było najwięcej poezyi, która przemawiała subtelnie w pierwszych taktach tej symfonii duszy ludzkiej:

Więc pójdziem w blaskach srebrzystych księżyca...
Patrz, ten ostatni rąbek krwawej zorzy
Lśni pośród drzewin, jakby uśmiech Boży,
Przed nadchodzącym snem rzucony światu...
Tam, gdzie przed chwilą był namiot z szkarłatu,
Teraz się błękit bezdenny rozpina
I mży gwiazdami... O, słodka godzina!
O przenajświętsza godzino przemiany!
Czy słyszysz, jak się szmer strumienia szklany
Zmienia w głęboki, cichy szept zachwytu?
Wiatr wstrząsnął szczytem drzew i z drzew tych szczytu,
Strącił pieśń jakąś... Czysty szum, jak liście
Dźwięczą i szemrzą, szeleszczą srebrzyście
I wieszczą chwile przedziwne, jedyne?

I muzyka tych słów, poezya dalszego rozwoju Psyche w dziejach wszechświata, znajduje w ustach artystki i jej grze uduchowionej wyraz bardzo dobitny. W „Zmierzchu bogów,“ kiedy szuka Erosa w Alexandryi, jej słowa brzmią nutą melancholijną i rzewną, szczery liryzm wydobywa się z jej wymowy:

Eros, gdy zechce, przepali i strawi,
Lecz, jeśli zechce, ciszą się objawi,
I, jeśli zechce, podniesie i zbawi.
W nim ja — wygnanka — jestem zakochana,
Przez niego w sercu mem się krwawi rana,
Jego ja szukam, wszechwładnego pana!
Wierzę, iż przyjdzie...

Miękkość i rzewność uczucia płynie całą falą w klasztorze u stóp krzyża; artystka daje się tej poezyi porwać i uskrzydlić:

Padłam tu twarzą przed stopy Chrystusa,
I tu mnie naszła pod krzyżem pokusa...
Słońce tam jasne gdzieś na świecie wstało
I weszło tutaj przez zielone kraty,
To samo słońce, co tam pieści kwiaty,
I ozłociło stopę Chrysta białą,
I jam grzesznemi ustami przypadła
Do złocistego na krzyżu widziadła.

I tak dalej w każdej nowej zmianie p. Duninówna umie wynaleźć nowe akcenty przejmujące i szczere. Nawet w scenie renesansowej artystka wywarła wrażenie silne, a już jako kurtyzana, osiągnęła w wykonaniu wyżynę sztuki odtwórczej. Był to istotnie, wedle wyrażenia jednego z krytyków, wspaniały taniec nerwów, szarpanych bólem ogromnym, była to konwulsya buntu świętego, rozkosz zdeptanego anioła przeciw królestwu szatana w człowieku. P. Duninówna pozostała wciąż wierną przewodniej idei uosobienia duszy, tym razem zbolałej nad wszelki wyraz i umęczonej.

I tak już było aż do wyzwolenia z tej męki, — do tryumfu Psychy nad Blaksem, duszy nad ciałem, — a artystki nad rolą, która się w posąg Psychy przed naszemi oczyma tak szczęśliwie zamieniła.

Jest tedy p. Duninówna nie tylko doskonałą artystką liryczną na scenie łódzkiej, ale siłą dramatyczną pierwszorzędnej miary w całym personelu teatrów naszych i może zająć wysokie stanowisko w hierarchii scenicznej. Dzięki tej artystce teatr łódzki, posiadający w ogóle bardzo wiele sił wybitnych, mógł wystawić szereg niepospolitych utworów i zająć niemi powszechną uwagę Warszawy, która tłumnie spieszy do Filharmonii i owacyjnie przyjmuje dzielną drużynę.

Ale artyści łódzcy nie byliby wytrzymali tak natężonej pracy, jaka ich czekała u nas, gdyby im nie przyszli z pomocą artyści krakowscy. Choroba nagła pań: Gromnickiej i Jakubowskiej, byłaby wstrzymała cały repertuar, gdyby nie występy gościnne pp. Siemaszkowej, Mrozowskiej i Sulimy.

Te występy zapobiegły groźnej katastrofie i umożliwiły dalszy rozwój repertuaru, mieniącego się nowościami, jak wzorzysta wstęga różnolitemi barwami.

Tak więc p. Wanda Siemaszkowa zawitała znowu do naszego miasta, a wielbiciele talentu artystki mieli sposobność żywo ją oklaskiwać w różnych rolach, przedewszystkiem zaś w effektownym dramacie D'Annunzia, p. t. „Gioconda," gdzie znakomita artystka odtworzyła świetnie rolę Sylwii.

Nadto p. Siemaszkowa przypomniała nam jedną z najpiękniejszysh postaci scenicznych, Norę Ibsena, a choć w pamięci naszej nie zatarła wspomnienia gry Modrzejewskiej, zasłużyła na wdzięczność za wznowienie sztuki wartościowej i budzącej głębokie refleksye.

Zjawienie się p. Mrozowskiej w teatrze łódzkim wywołało wśród widzów sensacyę. Już w teatrze Letnim, jako Psyche, artystka zwróciła na siebie uwagę powszechną, ale nie było to jeszcze wszystko. Publiczność nie spodziewała się takich wrażeń.

Po błyskotliwej, wirtuozowskiej i effektownej interpretacyi roli Jakóbiny w „Półdziewicach" Prévosta, p. Mrozowska zaczęła przerzucać się z jednej kreacyi w drugą, śmiało, z brawurą i pewnością zdumiewającą. W tej grze uderza najwpierw ogromne opracowanie szczegółów, wyzyskanie techniczne roli w najdrobniejszych znamionach. Tu artystka nie tylko przepysznie rzeźbi w dykcyi każde zdanie, ale w okresie całym, w dyalogu, pamięta — powiedziałbym — o wszystkich znakach pisarskich, nie opuści ani przecinka, ani średnika, ani kropki, ani wykrzyknika. Dokładność, sumienność, opanowanie roli najzupełniejsze. Niema tam ani uchybienia w takcie, ani opóźnień, ani niedomówień — wszystko jest oddane z precyzyą, umotywowane logicznie, oparte na intelligentnej podstawie wniknięcia głębokiego w psychologię danej kreacyi.

W ten sposób traktowane ujrzeliśmy bohaterki repertuaru współczesnego, wśród których szczególniejszym blaskiem jaśniały: „Zakochana" Porto-Riche'a, tudzież nieporównana postać chłopki, Marysi sołtysianki, w nowej sztuce p. Kazimierza Krzyżanowskiego p. t. „Przełom."

Był to debiut młodego autora, z zawodu artysty-malarza, który za temat dla swej sztuki wziął małżeństwo rzeźbiarza z dziewczyną wiejską, na podobieństwo dwóch tego rodzaju związków, artysty-malarza, Włodzimierza Tetmajera i poety Lucyana Rydla. Autor chciał, zdaje się, przedstawić niestosowność takich małżeństw, które stają się dla obojga małżonków dramatem bez wyjścia, jeżeli mężczyzna w ten sposób postępuje, jak bohater „Przełomu."

Żeni się on niby z miłości, tymczasem tego uczucia nie widać w dalszym rozwoju akcyi. Młodemu małżonkowi prędko się sprzykrzyła „bajecznie kolorowa" żona, zwłaszcza, że staje mu na drodze flirtująca i nieprzebierająca w środkach pani Izabella. Może się jednak mąż dla chłopki zdobędzie wreszcie na poświęcenie, nie potarga węzłów, nie zabije kochającej go po swojemu żony, lecz wychowa, jak należy, dziecko, które małżonków powinno odtąd pogodzić w wspólnym celu.

Kreacya pani Mrozowskiej była wprost znakomita. Ta chłopka, którą nam artystka ukazała na scenie, nie posiadała ani odrobiny z dawnej recepty traktowania ról chłopskich. To była chłopka z krwi i kości. Od wyglądu, od stroju autentycznego, — wszystko było w tej grze prawdziwe: poza, ruchy, gesty, wymowa. Dusza chłopska, natura dziecka z ludu widniały przed nami żywe, ze wsi przeniesione na scenę. Nic w tem nie trąciło przesadą, nic nie raziło brutalnością, wszędzie panowała istotna miara artystyczna. Bogactwo środków technicznych, któremi artystka celuje daje jej możność wypełnienia każdej sceny właściwym wyrazem i trafnie użytem pięknem charakterystyki zewnętrznej, obok głębszych znamion gry uduchowionej.

Czy p. Mrozowska w swej niepospolitej indywidualności artystycznej posiada jednakowo dźwięczne wszystkie struny talentu? Wsłuchując się pilnie w brzmienie tych tonów, które wydobywa, nie możemy schwytać wibracyi głębszego, szczerego uczucia. Może to wina ról dotychczasowych, może i ta struna delikatna liryzmu, płynącego wprost z serca, znajdzie się w jej skali artystycznej, ten brak jednak daje się do tej pory wyczuwać chwilami, pokryty natychmiast nadpływającą falą innych nieporównanych znamion tego samodzielnego talentu.

Bardzo sympatyczne wrażenie wywarła artystka sceny krakowskiej, p. Helena Sulima, która z istotnem powodzeniem odegrała w „Półdziewicach" rolę panny Maude. Jest to talent w zakresie ról salonowych i konwersacyjnych, poparty intelligencyą.

Obok płci nadobnej, w gronie artystów krakowskich, biorących udział w przedstawieniach teatru łódzkiego, zdobywa zasłużone oklaski komik charakterystyczny, p. Zelwerowicz, który zadebiutował jako wyborny Lechat w sztuce Oktawiusza Mirbeau: „Interes przedewszystkiem," i z wyróżnieniem pracuje nadal na tej scenie.

Po nad wszystkiem jednak dominuje ulubieniec Warszawy, gromadzący tłumy do sali Filharmonii, Kazimierz Kamiński. Wystąpił w „Bogatym wujaszku" Karlweissa i przykuł do siebie całą publiczność, która oczarowana wytwornym artyzmem tego wyjątkowego wirtuoza, nie opuszcza ani jednego przedstawienia z udziałem znakomitego gościa. Dotąd, oprócz „Bogatego wujaszka," p. Kamiński grał Rejenta w „Panu Damazym" i „Pana dyrektora" Bissona. Zawsze świetny w technice, zawsze przedziwny w rysunku odtwarzanej postaci, zawsze typowy w kreśleniu wizerunku scenicznego. Do tej gry wyjątkowej pod każdym względem, powrócimy jeszcze innym razem, skoro p. Kamiński wystąpi w nowej zupełnie kreacyi.

A kiedy teatr łódzki przemawia tak dobitnie, wymownie i przekonywająco do publiczności, pociąga olbrzymie zastępy widzów, scena „Rozmaitości," przeniesiona na lato do teatru w Ogrodzie Saskim, pragnie usilnie podążyć naprzód i nie dać się wyprzedzić. Ciężko jej przecież idzie. Nie łatwo pchnąć tę zastarzałą i skrzypiącą maszynę.

Bądź co bądź, w ostatnich czasach reżyserya ujawniła ruch pożądany i godny uznania, wystawiając poetycznego „Erosa i Psyche" Żuławskiego, oraz malowniczego „Komandora" Kozłowskiego. Nie są te utwory równej miary literackiej, ale jako rzeczy oryginalne, w równym stopniu zasługują na poparcie. Dyrekcya nie oszczędziła kosztów i wystawiła oba dzieła z wielkim nakładem.

Tak urządzonej sceny, jak w „Komandorze," dawno nie pamiętamy. Tylko tą drogą naprzód, bez przerwy, ciągle!

Autor efektownych obrazów historycznych z dziejów Warszawy, twórca „Dyany," „Reduty," „Pod Okrętem," p. Stanisław Kozłowski, potrafił wynaleźć znowu coś ciekawego. Tym razem rzecz dzieje się za panowania Stanisława Augusta, około roku 1780-go, w którym to czasie na horyzoncie Warszawy zjawił się słynny magik czarodziej, hypnotyzer, mason, a przedewszystkiem szalbierz, ścigany przez policyę różnych krajów, Cagliostro. Tradycya mówi, że ten oszust opanował całem miastem, całem towarzystwem wyższem, nawet samym królem. Kobiety zwłaszcza ulegały modzie zapisywania się do lóż massońskich, zakładanych przez Cagliostra w Warszawie, uczyły się „rytuału egipskiego," patrzyły w potrójne zwierciadło, kazały sobie przepowiadać przyszłość, a i mężczyźni poddawali się wpływom alchemika i w tyglach ołów zamieniać chcieli w złoto. Przesiadywał w pracowni Cagliostra najchętniej komandor, pan bogaty, którego między innemi pociągała tam czarnooka Lorenza, wspólniczka Cagliostra, przedstawiona w sztuce, jako medyum i ofiara „mistrza."

Lorenza.

Ze szlachetnej rodziny pochodzę,
Mój ojciec grand hiszpański, pan ogromnych włości,
Przez całe życie zgubnej hołdował skłonności,
Zajmował się alchemią i wyrabiał złoto.
W końcu umarł, strawiony nędzą i zgryzotą.

Cagliostro ją porwał i uwiózł do Londynu, potem do Madrytu i Paryża, magnetyzując nieszczęśliwą i wyzyskując do oszustw i zbrodni, za które ją piętnowano na ręku żelazem.

Lorenza.

Stałam pod pręgierzem!
Widzę, jak mnie pachołki smagają rózgami,
Jak krew pryska z pod skóry i ciało me plami.
I jak oprawcy w kleszcze biorą lewe ramię,
A kat chwyta żelazo i wypala znamię:
Piętno hańby! wieczyste, niczem niezatarte.

Odtąd wlokła już żywot ciężki, przykuta do boku Cagliostra, który wciąż okłamywał świat, z Petersburga wypędzony, jadąc do Warszawy, aby umykać coraz dalej i w końcu wpaść w ręce sprawiedliwości w Rzymie.

Osoba Cagliostra posłużyła Kozłowskiemu do namalowania ciekawego obrazu, który na scenie pociąga kolorytem barwnym i zajmuje mnóztwem nagromadzonych szczegółów z historyi masoneryi w Polsce. Jest to po pro-

stu wierszowany wykład obrzędów masońskich, z przedstawieniem w akcie trzecim samej loży i przyjęcia nowicyuszki.

P. Kozłowski w sztuce swej wyłożył rytuał masoński dokładnie, zrozumiale i poparł swój wykład demonstracyą na scenie, obfitującą w cały szereg interesujących epizodów. Niema w tem powagi ani nastroju dramatycznego, lecz kto chce się zaznajomić z tajemnicami kultu masońskiego, może na „Komandorze“ odbywać prawdziwe studya. Rzecz przedstawia się tem effektowniej, ile, że teatr nie poskąpił środków materyalnych i dał sztuce wystawę bogatą i kosztowną. Na scenie ukazały się nawet dawne, autentyczne tak zw. fraki Stanisławowskie, złotem haftowane. Jest co oglądać na scenie. W takim fraku Stanisławowskim publiczność ogląda i podziwia Leszczyńskiego, który ma w sobie majestat królewski. Z innych artystów na pochlebne wyróżnienie zasługują: p. Irena Trapszo (Lorenza), Tekla Trapszo (Komandorowa), p. Lüdowa (Ks. Izabella), oraz pp.: Śliwicki (rola tytułowa), Wostrowski (Cagliostro), Bednarczyk (Jezuita ks. Justyn).

Cała sztuka, pomimo stron ujemnych, zajmuje i bawi, a kilku rysami znamiennemi przenosi nas w epokę dawną, budząc wspomnienia dni ubiegłych bezpowrotnie, a zmarnowanych tak okrutnie.

Jednocześnie z ruchem teatralnym w Warszawie, zmartwychwstaje, z popiołów, jak Feniks odradza się scena polska w Wilnie i Kijowie, na Litwie i Rusi. Przedstawienia teatru lwowskiego pod dyrekcyą Pawlikowskiego nad Dnieprem, a teatru „Rozmaitości“ na scenie wileńskiej, rozpoczęły dzielnie nową dobę naszej sztuki dramatycznej. O tych widowiskach, które są wskrzeszeniem dawnej tradycyi teatru polskiego, należy się kilka uwag, a dziejom tych scen — szersze wspomnienie. Poświęcę temu przedmiotowi feljeton najbliższy.

Adam Dobrowolski.

Kronika działalności kobiecej.

— Francya. Wyższy instytut nauk dla kobiet-cudzoziemek został otworzony w Nancy, przy Quai Ligier-Richier, Nr. 23. Założycielką nowego instytutu jest panna Eliza Lohmann, dotychczasowa kierowniczka instytutu, istniejącego pod tym nazwiskiem w Norymberdze. W instytucie w Nancy, prócz znajomości wielu wyższych nauk, cudzoziemki mają sposobność nabywać wprawy w językach obcych, słuchaczki zaś wakacyjnych kursów w Uniwersytecie w Nancy, trwających od początku Lipca, do końca Października, znajdują w instytucie opiekę i pomieszczenie. Opłata miesięczna za całkowite utrzymanie i naukę obliczona jest na 123 fr.

— Wiedeń. Jako docentka filozoficznego kursu przy Uniwersytecie wiedeńskim, doktór Eliza Richter z wielkiem powodzeniem odbyła swą próbną prelekcyę. Tematem prelekcyi była istota dramatu hiszpańskiego z wieku XVI-go.

— Dublin. W Uniwersytecie w Dublinie, który dopiero od roku jest dla kobiet otwarty, napływ studentek odrazu okazał się znaczny. W chwili obecnej liczba ich dosięgła 90-ciu. Większość stanowią Angielki.

— Norwegia. Panna Marya Lie, rodem z Norwegii, ukończyła w Uniwersytecie Lipskim wydział filologiczny języków nowożytnych i świetnie zdała egzamin z języków: niemieckiego, francuzkiego i angielskiego. Panna Lie jest pierwszą Norwedką, studyującą w Uniwersytecie Lipskim.

— Belgia. Pod prezydencyą belgijskiego ministra sprawiedliwości otwarty będzie 8-go Sierpnia międzynarodowy kongres Towarzystw ochrony moralności małoletnich. Między innemi kwestyami kongres obradować będzie nad sposobami, t. j. nad ustanowieniem praw międzynarodowych, zabezpieczających małoletnie dziewczęta przeciw umieszczaniu ich w domach rozpusty.

— Nowy Orlean. Związek złożony z 7-iu kobiet-lekarek i tyluż dentystek, praktykujących w Nowym Orleanie, założył w najuboższej dzielnicy miasta medyczną i dentystyczną poliklinikę dla kobiet i dzieci.

Z. S.

Kroniczka.

— W chwili obecnej, gdy wszystkie umysły zaprzątnięte są sprawą szkolną i reformą z nią związaną, gdy współpracują, aby wytworzyć nowy typ szkoły udoskonalonej ks. rektor Jan Gralewski przychodzi z pomocą i w „Gazecie Polskiej“ przedstawia nam program opracowany nowego typu szkoły prywatnej, najbardziej odpowiadającej potrzebom ogółu.

Pozwalamy sobie przytoczyć w streszczeniu zasadnicze punkty ustawy:

Szkoła ma zadanie stwarzania warunków sprzyjających rozwojowi normalnemu sprawności fizycznej, umysłowej i moralnej wśród wychowańców. Ma być typem szkoły średniej, 9-io-klassowej, ogólno-kształcącej. Środki jakiemi się ma w sprawie wychowania posługiwać, dają się ująć pod trzy kategorye:

A. Środki, sprzyjające rozwojowi sprawności fizycznej w szczególności, jak: kąpiele czystości, ćwiczenia ciała metodyczne i dowolne, gry, sporty, zajęcia praktyczne (w ogrodzie, w warsztatach, w salach rysunkowych, w laboratoryach), spiew i muzyka, wycieczki.

B. Środki sprzyjające rozwojowi sprawności umysłowej w szczególności: Nauka: Religiii i moralności, Historyi w czworakiem pojęciu, Języków obcych, Arytmetyki i buchalteryi i z niemi związanych gałęzi wiedzy podrzędnych, skoordynowanych i Nauki przyrodnicze.

C. Środki, sprzyjające rozwojowi sprawności moralnej, w szczególności: Nabożeństwa i praktyki religijne; Uroczystości: szkolne, ogólno-ludzkie, narodowe, przedstawienia teatralne, koncerty, odczyty z dyskussyami (wielce pożądany czynnik wychowania, rozwija myśl własną, rzutką, logiczną i siłę argumentacyi), zebrania towarzyskie. Zwiedzanie wystaw, muzeów, galeryi obrazów i t. p. Zwiedzanie instytucyi i urządzeń społecznych. Stowarzyszenia uczniowskie: sportowe, naukowo-literackie, artystyczne, dobroczynne, wzajemnej pomocy. Spełnianie przez wychowańców urzędów odpowiedzialnych w zawiadywaniu poszczególnemi sprawami szkolnemi. Stały wpływ moralny nauczycieli, pozostających w stosunku z rodzicami wychowańców, jako też wpływ wzajemny wychowańców, pochodzących z różnych ognisk rodzinnych i różnych sfer społecznych. Regulamin szkolny.

Na tem poprzestaniemy. Dalsze wskazówki, jakkolwiek wielce cenne, są już bardziej natury technicznej, administracyjnej, organizacyi ogólnej i poszczególnej. Językiem wykładowym jest język polski; język rossyjski od klassy trzeciej wykładany jest w języku rossyjskim.

Jakolwiek jest to zaledwie szkic, plan rzucony, do wykonania którego potrzeba nam warunków i ludzi przygotowanych, odnosimy się z uznaniem do tak zacnych usiłowań, w których głęboki umysł, serce i dobra wola zdobywają się na akty, mające zawiązki czynów dla lepszej, jaśniejszej przyszłości całych pokoleń. Wierzymy, że tak wychowany i ukształcony człowiek stanie się tym gmachem fundamentalnie zbudowanym, w którym — wedle słów Prusa—front i skrzydła będą równomiernie, estetycznie i architektonicznie doskonale rozwinięte.

Żałować jedynie należy, że dotychczas plan ów dotycze wychowania naszych synów na ludzi i obywateli. Może i dla córek naszych typ nowej szkoły da się w praktyce zastosować?

— Pani Helena Kalinowska zamierza otworzyć ochronę i szwalnię pod egidą Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności dla 100 dzieci robotników pracujących w fabryce wyrobów tytuniowych pod firmą „Kalinowski i Przepiórkowski.“

— „Echa Płockie i Włocławskie“ zamieściły odezwę do młodzieży pod godłem: „Precz z rozpustą fizyczną i duchową!“ nawołując do utworzenia stronnictwa „czystych.“ Zarys przyszłego stowarzyszenia obejmuje następujące punkty:

1) Precz z rozpustą!
2) Precz z flirtem, który jest moralną rozpustą!
3) Precz z lwicami i lwami salonowymi!
4) Precz ze wszelkimi czynnikami, popychającymi do rozpusty, jak: alkohol, tytuń, pornografia w druku i na scenie.
5) Rozpowszechnienie idei czystości wśród społeczeństwa przykładem, słowem, drukiem.
6) Rozpowszechnienie ćwiczeń gimnastycznych i wszelkich zabaw pokrewnych tym ćwiczeniom.
7) Rozpowszechnienie idei miłości bliźniego.
8) Członków przyszłego obozu „czystych“ nie pytać o przeszłość, lecz teraźniejszość ich i przyszłość mają być bez zarzutu.

Objaw tego zdrowia społecznego w dążeniu do moralnego odrodzenia ludzkości, o ile wytrwa w swej sile i zamiarze, wart gorącego uznania i poparcia powszechnego.

— Zarząd główny Towarzystwa „Eleuteryi“ urządza w Zakopanem w r. b. szereg odczytów o alkoholizmie. Wykłady o charakterze naukowym, obejmują też konwersatorya i dyskussye. Zapewniono wykłady następujące: książę Gedeon Giedroyć (1-go Sierpnia) „Odrodzenie narodu przez wstrzemięźliwość,“ „Obecny ruch abstynencki w Polsce,“ (dnia 3-go) d-r August Wróblewski, (dnia 4-go) „Światowy prąd, usuwający zwyczaj picia,“ d-r Filip Eizenberg „Alkohol i choroby zakaźne“ (dnia 7-go), d-r Władysław Gumplowicz „Alkoholizm a sprawa społeczna“ (dnia 9-go), d-r Eugeniusz Piasecki, (dnia 11-go) „Alkoholizm a zabawy ruchowe.“ Wykłady odbywać się będą w „Czytelni Zakopiańskiej.“ Cena biletu na całą seryę: krzesło 4 korony, wstęp 2 korony. Oddzielne bilety po cenie 1 kor., wstęp 50 hal. Objaśnień i pomocy udziela Towarzystwo wyższych kursów wakacyjnych w Zakopanem.

— W dniu 22-im z. m. opuściła świat ś. p. *Zofia z Malhommów Klemensowska.* Zmarła uosabiała typ matrony polskiej z rodów arystokratycznych, z którymi była skoligacona; jaśniała zaletami, jako żona, matka i obywatelka. Posiadała wysokie wykształcenie, mając za mistrzów Narcyzę Żmichowską i Stanisława Jachowicza. Była nadto obdarzoną talentem muzycznym i kompozytorskim; zasłynęła, jako uczennica Chopina i Thalberga i wirtuozka niepoślednich zalet. Żyła lat 75.

— Dnia 25-go z. m. w Krakowie zakończył tragicznie życie ś. p. *Józef Bozdiech*, znany artysta-malarz, w młodym wieku lat 30. Celował w odtwarzaniu martwej natury. Wypadki doby bieżącej tak silnie oddziałały na artystę, iż sprowadziły rozstrój nerwowy, którego wynikiem było targnięcie się na własne życie.

— Dnia 25-go z. m. zmarła ś. p. *Zofia Tarasiewiczowa*, żona znanego przemysłowca m. Warszawy, w 54-ym roku życia.

ODPOWIEDZI.

— *Pani Łasz. w Łubnach.* — Dopłata za formy bibułkowe, zastosowane przez p. Lewańskiego do rycin w „Bluszczu“ wynosi od 25—80 kop., zależnie od wielkości i bardziej lub mniej skomplikowanych szczegółów.

Treść numeru:

Polki we współczesnej literaturze i sztuce: Hajota (z portretem), przez Milesa.— Ploteczki i prawdy, feljeton tygodniowy, przez Parola.— Joan. VIII, 1—12, przez Maryę Rodziewiczównę (ciąg dalszy). — Duch Napoleona I-go (wiersz), przez Adelę Koneczną. — Żony mężów pracujących: IV. Zbytek, przez Jadwigę z Z. Strokową.— Historya kobiety, studyum historyczne, przez Julię Terpiłowską (ciąg dalszy).— G. Flaubert: Legenda o świętym Julianie Gościnnym, tłóm. M. Pankiewiczówny (ciąg dalszy). — Przegląd teatralny, przez Adama Dobrowolskiego.— Kronika działalności kobiecej, przez Z. S.— Kroniczka.— Odpowiedzi. — Ogłoszenia.

Do dzisiejszego numeru dołącza się arkusz 8-my baśni dramatycznej w 4-ch aktach Einara Arne Chistiansena p. t. „Piotr Plus,“ w przekładzie K. Łaganowskiego.

Dodatek: Opis ubiorów i robót (rycin 24). — Przepisy kuchenne.

Pierwszorzędna wykwintna pracownia
SUKIEN I OKRYĆ
oraz Szkoła Kroju i Szycia
„CHIC VARSOVIEN"
ulica Złota №. 25
wykonywa
pospiesznie i elegancko podług ostatnich modeli z własnych i powierzonych materjałów.
Zapis uczennic codziennie. **Przy szkole pensyonat.**

Źródłem siły
dla wszystkich osłabionych,

wycieńczonych, zdenerwowanych, pozbawionych energji skutkiem przepracowania umysłowego lub fizycznego, jak również i dla tych, których choroby wyniszczające i silne wstrząśnienia moralne pozbawiły odporności — jest

SANATOGEN BAUERA

zaszczycony świadectwami przeszło 2000 lekarzy wszystkich krajów kulturalnych.

Prawdziwy tylko Bauera i S-ki w opakowaniu rosyjskiem.
Wystrzegać się bezwartościowych naśladownictw.
Broszury na żądanie wysyła bezpłatnie S. Karczewski,
ul Nowo-Senatorska No. 4 w Warszawie.

KURSY FREBLOWSKIE ze slöydem i rysunkiem
Zakład Jadwigi Chrząszczewskiej Warszawa Nowy-Świat 21
przyjmuje pensyonarki. Francuzka stale. Po skończeniu udziela świadectw, daje posady, lekcye. Ceny przystępne.

GAZETA HANDLOWA.

„GAZETA HANDLOWA" weszła obecnie w fazę stałych reform. Dotychczas Gazeta powiększyła już format, wzbogaciła treść i rozszerzyła koło współpracowników. Gazeta wychodzi również w niedziele i święta.

W ostatnich czasach jedna sobie szeroką poczytność we wszystkich kołach czytelniczych, **jako pismo, które obok swej specyalności handlowo-przemysłowej,** pożytecznej teraz dla każdego, **zawiera obfitą treść ogólną.**

„Gazeta Handlowa" obejmować będzie nadal główne działy następujące: artykuły wstępne, poświęcone sprawom społecznym, ekonomicznym i polityce; uwagi informacyjne i krytyczne nad sprawami chwili bieżącej; korespondencye z wszystkich ognisk życia; dział literacki i artystyczny; feljetony na temat spraw społecznych; najbogatszą w naszej prasie kronikę handlu, finansów i przemysłu; obszerną kronikę ogólną i polityczną; telegramy własne i Agencyi Petersburskiej; odcinek powieściowy, teatralny i literacki; kronikę akcyjną; fachowe wskazówki społeczno-gospodarcze; wiadomości instrukcyjne (licytacye, losowania, wykaz spółek, wykaz zaliczeń na kolejach i t. p.); najbogatszy dział giełd, oraz targów zbożowych i towarowych, służący na podstawę do kontraktów.

W zakresie informacyj handlowych i przemysłowych, czerpanych wyłącznie ze źródeł bezpośrednich, **„Gazeta Handlowa" jest dowodem,** nieodzownym w rękach każdego, kto zawiera jakiekolwiek obroty i kto pragnie się zapoznać z biegiem całego życia ekonomicznego kraju; w działach ogólnych **daje pełny obraz ruchu społecznego, politycznego, literackiego i artystycznego,** *hołdując w ocenie zjawisk życiowych dążnościom szczerze liberalnym.*

Naczelny kierunek redakcyjny „Gazety Handlowej" spoczywa w rękach
St. A. Kempnera.

Gazeta **korzysta ze współpracownictwa wszystkich prawie praktycznych ekonomistów** w kraju **i ma bezpośrednie stosunki** informacyjne z wszystkiemi **instytucyami ekonomicznemi i handlowemi.**

W działach ogólny biorą udział liczne, pierwszorzędne siły literackie, które odznaczyły się talentem i niepodległością myśli.

Na żądanie posyła się **bezpłatnie** numery okazowe każdemu, kto poda swój adres.

Józef Jankowski. **ZWROTKI**
Wydawn. GEBETHNERA i WOLFFA
Na wytwornym angielskim papierze z portretem autora ☆ ☆ ☆ **Cena 75 kop.**
Zamawiający przez Redakcyę „Bluszczu" nie ponoszą kosztów przesyłki.

SUDORYN AP. KOWALSKIEGO, APTEKARZA w WARSZAWIE, GRANICZNA 10, **POTU**
USUWA ŚWIETNIE POT, ODPARZENIE, WOŃ
BLASZANKI Z SITKIEM PO 30 i 50 kop. ŻĄDAĆ WSZĘDZIE.
STRZEDZ SIĘ NAŚLADOWNICTW W BLASZE i TEKTURZE.

Towarzystwo Akcyjne
„Gazety Polskiej"
z kapitałem 250,000 rubli (1000 akcyi po 250 rubli).

W dniu 9 czerwca r. b. uzyskała zatwierdzenie Najwyższe ustawa Towarzystwa Akcyjnego „Gazety Polskiej" pod nazwą:

TOWARZYSTWO AKCYJNE
zakładów i wydawnictw
„GAZETY POLSKIEJ"
w Warszawie,
z kapitałem 250,000 rubli, rozdzielonym na 1,000 akcyi, każda po 250 rubli.

Założycielem Towarzystwa jest obecny redaktor i wydawca *„Gazety Polskiej"*, Jan Gadomski.

Według § 1 Ustawy. Towarzystwo, obok innych praw, jakie mu przysługują, ma prawo posiadać i wydawać wszelkiego rodzaju wydawnictwa, a w pierwszym rzędzie te, które są dziś własnością Jana Gadomskiego, t. j. *„Gazetę Polską"* i *„Bibliotekę Dzieł Wyborowych"* Dla nabycia też i prowadzenia tych wydawnict, łącznie z drukarnią, a względnie dla prowadzenia innych wydawnictw, dla nabycia dla swoich zakładów osobnego domu i t. p. zakłada się to Towarzystwo Akcyjne *„Gazety Polskiej"*.

Nasze Towarzystwo Akcyjne dla wydawania pisma codziennego jest pierwszem tego rodzaju w Państwie.

Zapisy na akcye Towarzystwa Akcyjnego zakł. i wyd. „GAZETY POLSKIEJ", przyjmuje założyciel Towarzystwa, Jan Gadomski, w lokalu Redakcyi „GAZETY POLSKIEJ" w Warszawie przy ul. Wareckiej 14.

Zapisy mogą być nadsyłane pocztą.

Ustawę każdy otrzymać może na żądanie.

Założyciel Towarzystwa Akcyjnego zakładów i wydawnictw *„Gazety Polskiej"* w Warszawie
Jan Gadomski.

Pierwszorzędne Biuro Nauczycielskie
LEOKADYI MAX
Warszawa, Marszałkowska № 113
(Zielna № 8) parter.

Jadwiga Golcz
Zakład fotograficzny
Hotel Bristol
winda do zakładu
12 szt. gabinetowych . . . . . 12 rb.
12 szt. wizytowych . . . . . 5 rb.
przyjmuje roboty amatorskie

Przyjmuję suknie do szycia, wykonywam prędko i starannie.
Walerja Kowalska
Śliska 32 m. 32.

Biuro Nauczycielskie „LABOR"
Warecka №. 9.
Rekomenduje nauczycielki, bony Polki i cudzoziemki.

Prasuję bieliznę męzką bez szkodliwych dodatków.
Warecka № 9 m. 8.

Wydawca: *Piotr Laskauer.*— Redaktor: *Maryan Gawalewicz.*

Дозволено Цензурою. Варшава, 21 Іюля 1905 г.

Druk Piotra Laskauera i S-ki, Nowy-Świat 41.

№ 1. **Okrycie do żałoby.** (Krój odw. str. tabl. Fig. 83—85).

(*Dok. opisów do Nr. 31*).

№ 14. **Kostyum przybrany ciemniejszym aksamitem i haftowanemi szlakami.** (Patrz szkic *c*).

Kostyum z sukna w śliwkowym kolorze, przybiera śliwkowy aksamit i szlak haftowany na kremowem suknie. Szlak naszyty na przednich szwach otacza spódnicę na 15 ctm. od brzega. Przy następnych szwach wszyte patki aksamitne ze szlakiem, naśladują kieszenie. Zręcznie udrapowany stanik na dobrze dopasowanej podszewce, z boku na zatrzaski zapięty, przybierają dwa pasy aksamitu, oszyte szlakiem, wysunięte z pod aksamitnego kołnierza, również oszytego szlakiem. Przód wypełnia koronkowa kamizelka, z boku kryto zapięta, z kołnierzykiem, zapiętym z tyłu. Rękawy bufiaste, środkiem ściągnięte szlakiem, przy łokciu zakończone mankietem, odpowiednim do kołnierza, poniżej łokcia wązkie, złożone z plisek.

Potrzeba: 7 mtr. sukna podw. szer., 1 mtr. ukośnie uciętego aksamitu, 13 mtr. szlaku $2^1/_2$ ctm. szer., koronkową kamizelkę.

№ 15. **Domowe ubranie z odmienną bluzką.**

Spódnica z materyału éolienne w bronzowym, ciemnym odcieniu, wykończona bez podszewki, fałdowana w odstępach, zakończona riuszą. Bluzka z materyi Liberty w bronzowe i jasno zielone paski. Lekko namarszczona, dopełniona chusteczkowym kołnierzem, przybrana karczkiem z tiulu Valenciennes, takiemiż mankietami, haftowanym szlaczkiem i haftowanemi motywami.

Potrzeba: $6^1/_2$ mtr. éolienne podw. szer. na spódnicę; na bluzkę: $4^1/_2$ mtr. materyi Liberty, 1 mtr. valencienowego tiulu 50 ctm. szer., $1^3/_4$ mtr. haftowanego szlaczku 3 ctm. szer., 10 motywów.

№ 16. **Strojna sukienka dla dziewczynki od 2—4 lat.** (Krój pierw. str. tabl. Fig. 26—30).

Sukienka z fularu do prania, białego lub blado różowego, ułożona w drobne zakładeczki.—Przybranie stanowią: à jour wszyte valencienkowe wstawki 2 ctm. szerok., takaż koroneczka tejże szerokości — i 7 medaljonów koronkowych wszytych na dużym kołnierzu.

Wzory ubiorów i robót do Nr. 32.

№ 1. **Okrycie do żałoby.** (Krój odw. str. tabl. Fig. 83—85).

Poważna i do żałoby odpowiednia okrywka w kształcie chusteczkowo ściętej peleryny, składa się z krepowego karczka, przeciągniętego w formie prostych przodów i z przyszytej doń, namarszczonej peleryny, na bokach krótszej, z tyłu, w ząb ściętej odpowiednio do przodów. Karczek i przody z krepy wykończone na podszewce, część sukienna okrywki bez podszewki, zakończona stebnowanym obrębem.

№ 2. **Bluzka do żałoby, przybrana krepą.** (Krój pierw. str. tabl. Fig. 11—14).

Plisy z angielskiej krepy, pętelki z sutaszu i drobne, pasmanteryjne guziczki przybierają bluzkę z czarnego woalu, zmarszczoną na ramionach i lekko obciągniętą na dobrze dopasowanej podszewce. Rękawy do łokcia bufiaste, przedzielone marszczeniem, poniżej wązkie, naszyte pliską i szeregiem pętelek z guziczkami.

№ 3. **Suknia do ciężkiej żałoby.** (Patrz szkic *a*).

Spódnicę z podszewki zakończa wysoka, kolista falbana, pokryta krepą, na którą swobodnie spada krótsza, z tyłu zapięta, gładka spódnica z kaszmiru. Okrągło ścięte bolero, przyszyte do przymocowanej dokładnie podszewki, zakończone plisą z krepy, chusteczkowo udrapowane z przodu. Bolero dopełnia okrągły, lekko udrapowany karczek, zapięty na ramieniu. Wysoki, gorsecikowy pasek z krepy mocno obciągnięty na wyfiszbinowanej podszewce. Rękawy do łokcia wązkie, pokryte krepą, powyżej bufiaste, zakończone kokardami z krepy.

Potrzeba: $4^1/_2$ mtr. kaszmiru podw. szer., 5 mtr. krepy angielskiej.

№ 2. **Bluzka do żałoby, przybrana krepą.** (Krój pierw. str. tabl. Fig. 11—14).

№ 3. **Suknia do ciężkiej żałoby.** (Patrz szkic *a*)

№ 4. **Sukienka do żałoby, dla dziewczynki od 6—9 lat.**

№ 5. **Kostyum do żałoby, naszyty plisami z krepy.** (Krój pier. str. tabl. Fig. 1—10).

Szkic *a* do ryc. 3.

№ 4 **Sukienka do żałoby, dla dziewczynki od 6—9 lat.**

Marszczoną spódniczkę z lekkiej wełny zakończają dwie marszczone falbanki 10—13 ctm. szerokie, naszyte pliskami z krepy i takąż pliską w górze przeciśnięte. Marszczoną bluzkę, stanikiem z podszewki połączoną ze spódniczką, dopełnia okrągły karczek, oszyty falbanką, odpowiednią do falban na spódniczce. Krótkie, do łokcia sięgające rękawki, zakończone też falbankami. Połączenie spódniczki z bluzką pokrywa pasek udrapopowany z krepy.

Potrzeba: $3^1/_2$—4 mtr. materyału podw. szer., 1 — $1^1/_4$ mtr. krepy.

№ 5. **Kostyum do żałoby, naszyty plisami z krepy.** (Krój pier. str. tabl. Fig. 1—10).

Kostyum z kaszmiru, albo lekkiego sukienka, składa się ze spódnicy, ułożonej w płaskie fałdy i z krótkiego, obcisłego stanika, z kamizelką zapiętą na drobne guziczki, wypełnioną szmizetką z plisowanej krepy. Stanik od ramion ułożony w fałdy, przybierają szerokie, szalowe plisy z krepy i obciska wązki, krepowy pasek. Rękawy do łokcia wązkie, powyżej bardzo umiarkowanie szerokie. Plisy na spódnicy, skrojone podług formy, podnoszą się na przodzie i tworzą ząb.

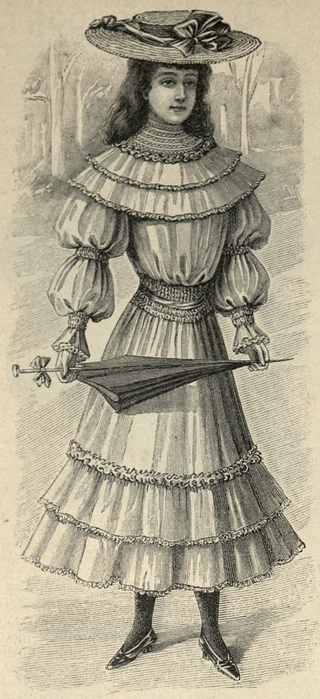

№ 6. **Suknia z bluzką dla dziewczynki od 12—14 lat.**

№ 6. Suknia z bluzką dla dziewczynki od 12—14 lat.

Suknia z jasnego, albo białego woalu składa się z marszczonej spódnicy i z tyłu zapiętej bluzki, wszytej w okrągły karczek. Spódnicę zakończają dwie marszczone 12 ctm. szerokie falbanki. Bluzka i spódnica kilkakrotnie w stanie przemarszczone, połączenie ich pokrywa rulon materyi w kolorze sukni. Przyszycie falban pokrywa riuszka, brzegi oszyte wązką Valencienką. Rękawy bufiaste, przemarszczone przy ręku i powyżej łokcia. Karczek przy bluzce wykonany z plisek z materyału i mereszek.

Potrzeba: 5 metr. woalu podw. szerok., 26 mtr. koroneczki, $^3/_4$ mtr. materyi na pasek.

№ 7. Ranny kaftanik ozdobiony ażurowym haftem. (Krój i deseń pierw. str. tabl. Fig. 15—21).

Kaftanik z gładkiego batystu strojnie przybiera haft modny, ażurowy, tak zwany Madeira. Wstawka z takiego haftu, 5 ctm. szeroka, otacza kaftanik w dole, w odstępie 4 ctm. obrębu, obciska rękawy i zakończa kołnierz oszyty 8 centymetrową falbanką, do której wzór podaje ryc. 21. Pasek z materyału, 4 ctm. szeroki, kryto zapięty i skrzyżowany na przodzie, lekko obciska kaftanik w stanie.

№ 8. Batystowa spódniczka, przybrana haftem (Krój odw. str. tabl. Fig. 132—134).

Spódnicę z gładkiego, grubszego batystu, odpowiednią pod letnie kostyumy, zakończa wysoka, marszczona falbana, zdobna wstawkami haftowanemi i szeregami drobnych zakładeczek, oszyta falbanką z batystu, pokrytą namarszczoną koronką. Na falbankę tę, zamiast batystu i koronek, użyć można odpowiednio szerokiego haftu, deseniem dobranego do wstawek.

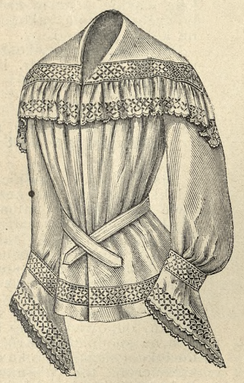

№ 6. **Ranny kaftanik ozdobiony ażurowym haftem.** (Krój pierw. str. tabl. Fig. 15—21)

№ 8. **Batystowa spódniczka, przybrana haftem.** (Krój odw. str.

№ 9. Suknia z woalu w deseń.

Materyał: woal niebieskawo szary w ciemniejszy o ton deseń. Lekko namarszczoną spódnicę zakończa i doskonale obciąga przybranie, złożone z trzech plisek z materyału i po obu stronach tychże falbaneczki z taffetas w kolorze deseniu. Bluzka namarszczona, na doskonale dopasowanej podszewce obciągnięta, spięta pasem z materyi, układa się z przodu w kształcie bolera, przybranego falbanką z taffetas. Napierśnik z koronki. Rękawy bufiaste, krótkie, zakończone sutemi falbankami z taffetas i koronki.

Szkic *b* do ryc. 13.

Szkic *c* do ryc. 13.

Potrzeba: 11 mtr. woalu, 20 mtr. koronki 3 c[illegible] $^1/_2$ mtr. wstążki na pasek.

№ 10. Kostyum wizytowy, przybrany gipiurą i aksamitem.

Kostyum z wełnianego materyału w jasne i ciemniejsze lila prążki, strojnie przybiera w ciemniejszym tonie aksamit i żółtawa gipiura. Szeroki pas aksamitu, wycięty w zęby pokrywa przyszycie wyższej falbany. Żółtawa gipiura też ułożona w zęby otacza brzegi aksamitu. Drapowany, krótki stanik w kształcie bolera, wypełniony z przodu koronkową koszulką, zdobią małe wyłogi z aksamitu i zębate obłożenie z gipiury. Bawecikowy, drapowany pasek z aksamitu. Rękawy *gigot* środkiem przemarszczone, zdobne gipiurą i oszyte koronkową falbanką.

№ 9. **Suknia z woalu w deseń.**

Potrzeba: $6^1/_2$ mtr. materyału podw. szer., $1^1/_2$ mtr. aksamitu ukośnie uciętego, 8 mtr. gipiury w dwóch szerokościach, $3^1/_2$ mtr. koronki 8 ctm. szerok., koronkowy krawat.

№ 11. Kostyum wizytowy z paltocikiem w stylu Louis XV. (Krój odwr. str. tabl. Fig. 74—82).

Kostyum zestawiony ze spódnicy w kraty śliwkowe na kremowem tle i z paltocikowego stanika z sukna śliwkowego, przybiera kosztowna koronka Bruges. Spódnica, sporządzona bez podszewki, zakończona wysoką, od góry w drobne zaszewki zaszytą falbaną. Przyszycie falbany pokrywa koronkowa wstawka ujęta w sukienne plisy. Paltocik na jedwabnej podszewce w tym samym tonie, zapięty na 2 rzędy złoconych guziczków, strojnie przybierają falbany koronkowe przy półdługich rękawach i szalowy, koronkowy kołnierz. Szmizetka z plisowanego chiffon wypełnia wycięcie przy szyi.

№ 12. Kaftanik do łóżka, przybrany koronką. (Krój odwr. str. tabl. Fig. 114—117).

Wygodny, krótki kaftanik z białej flanelki, albo innego, dobrze piorącego się i niegniotącego się mate-

ściegi gałązkowe.

№ 13. Kosty

Materyał: wo
taffetas. Spódnica,
dzaju tuniki, przy
w tonie sukni. Kr
kież wody, zwężają
przodach, zakończ
nierz i takiż mank
do łokcia sięgający
kaftanika. Podszew

№ 10. Kostyu … aksam

Kostyum może
dy stanik (patrz szki
z aksamitu, przybie
z taffetas.

Potrzeba: $1^1/_2$ m
fetas, $^3/_4$ mtr. aksam
piury, $3^1/_2$ mtr. koron
jedwabnej pod kaftan

№ 11. Kostyum z paltocikiem w stylu Louis XV.
(Krój odw. str. tabl. Fig. 74—82).

z kaftanika, a wte-
wysokim paskiem
koronkowy i woda

. szer., $5^1/_2$ mtr. taf-
$^1/_4$ mtr. szerokiej gi-
$3^1/_2$ mtr. podszewki

Potrawa z baraniny z zieloną fasolką.

Baraninę (4–5 funtów), z żeberkami obrumienić w dużej ilości masła, z jedną cebulą i korzeniami. Gdy dobrze obrumieniona, włożyć pokrajanej w kosteczkę, sparzonej, zielonej fasolki głęboki talerz, dodać masła i kilka gałązek estragonu i razem dusić do miękkości. W miarę potrzeby podlewać rosołem. Na podaniu pokrajać baraninę, obłożyć fasolką i polać sosem.

Babka z naleśników z grzybami.

Grzyby świeże pokrajać w plasterki i udusić w maśle z cebulą, z solą i z pieprzem. W rondlu wysmarowanym masłem i wysypanym bułeczką układać warstwami naleśniki delikatne, pulchne, przekładając grzybami. Ostatni powinien być naleśnik. Wsunąć w piec na pół godziny, a gdy się zrumienią wyjąć na półmisek i podawać jako osobne danie.

Pieczeń cielęca napuszczana cytryną.

Kawał dobrej pieczeni cielęcej, obrany z kości, nałożyć cienkiemi plastrami młodej słoniny, posolić, popieprzyć nacisnąć sokiem z 1 cytryny, zwinąć mocno i owiązać szpagatem i pozostawić tak przez parę godzin. Piec jak zwykle, polewając masłem. Podawać z młodemi kartoflami lub makaronem.

Potrawa z kurcząt z pomidorami.

Kurczęta pokrajane na ćwiartki, udusić w krótkim sosie z masłem, włoszczyzną i z solą. Oddzielnie udusić kilka pomidorów w maśle, przetrzeć je przez sito, rozprowadzić kieliszkiem madery, włożyć kurczęta, wlać trochę rosołu i dusić jeszcze przez 15 minut. Na półmisku ułożyć kurczęta, polać sosem i obłożyć ryżem lub kluseczkami.

Sposób suszenia zielonego groszku.

Groszek pół dojrzały, wyłuskany, postawić z rondlem na blasze, przykryć pokrywą i potrząsać często rondel, aby groszek się nie przypalił, tylko mocno zapocił i wyparował. Wtedy wysypać cienkiemi warstwami na blachy i suszyć w piecyku po chlebie, albo w kuchni angielskiej, uważając, żeby się nie zrumienił tylko wysuszył. Groszek taki trzymany w suchem miejscu jest doskonały i bardzo trwały.

Suflet z moreli.

Kilka dużych moreli obrać ze skórki, połupać i udusić z cukrem na marmeladę. Oddzielnie ubić pianę z 5 białek kłaść ją po trochu w gorącą marmeladę i bić trzepaczką dopóki wszystka piana nie zostanie wymieszana. Bicie na gorąco piany daje pewność, że suflet nie opadnie. Złożyć na półmisek, posypać miałkim cukrem i piec w niezbyt gorącym piecu przez 20 minut. Podawać na półmisku, na którym się piekł.

Krem z malin.

Pół kwarty malin przetrzeć przez gęste sito, dodać pół funta cukru i bić dopóki się cukier nie rozpuści i nie zacznie gęstnieć. Oddzielnie ubić pół kwarty kremowej śmietanki z 4 białkami, wymieszać z malinami i bijąc ciągle wlać 2 łuty żelatyny rozpuszczonej w małej ilości wody. Gdy zacznie gęstnieć złożyć w formę wypłukaną wodą i wysypaną cukrem i postawić na lodzie.

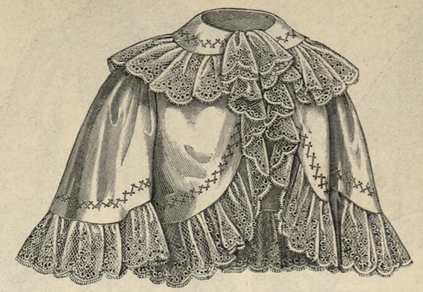

№ 12. **Kaftanik do łóżka przybrany koronką.**
(Krój odw. str. tabl. Fig. 114—117)

№ 13. **Kostyum wizytowy z luźnym kaftanikiem.**

№ 14, 15 i 16. **Koszula dzienna, koszula nocna i majtki przybrane ażurowym haftem.**
(Krój i wskazówki odw. str. tabl. Fig. 118—113).

№ 17, 18, 19 i 20. **Koszula dzienna, majtki, koszula nocna i gorset dla panienki od 13—15 lat.**
(Krój i wskazówki pierw. str. tabl. Fig. 44—62).

№ 21. **Urządzenie werandy (wyszycie grubą bawełną i aplikacyą wzorów wycinanych z kretonu).** (Patrz ryc. 22).

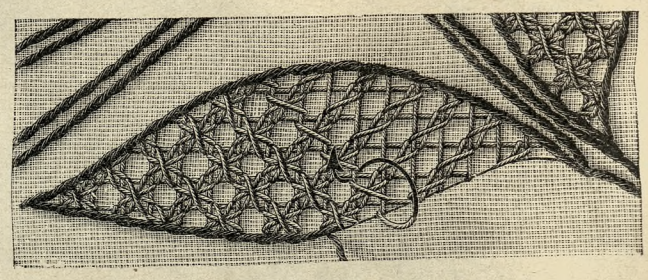

№ 22. **Część wyszycia do ryc. 21.**
(Nieco zmniejszona).

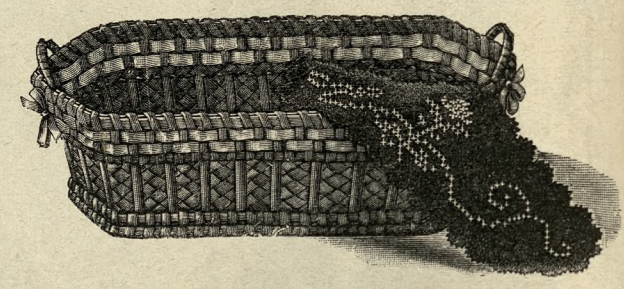

№ 23. **Koszyczek do robót.**

Likier Benedyktynka.

Pół ćwierci łuta szafranu namoczyć w kwaterce spirytusu, łut świeżego jeżeli można korzenia dzięglu, łut jałowcu—na połowę przetłuczonego i kawałeczek wielkości ziarnka grochu Gentianna lutea, namoczyć w drugiej kwaterce spirytusu—niechaj tak stoi 3 dni w cieniu.

W gąsiorek wlać półtorej kwarty najlepszego spirytusu, wlać w niego przez bibułę szwecką owe ½ kwarty namoczonych korzeni i wymieszać dobrze. Zrobić syrop z 4 do 5 funtów cukru, licząc do tego 6 szklanek wody, a wyszumowany gotujący zlać w wazę i rozbierać potrochę owym ½ garncem spirytusu z korzeniami, gdy się wygryzie i dobrze wymiesza zlać w suche butelki, zakorkować (przedtem wszystko przefiltrować) i po ½ roku używać.

Cytrynowy krem z owocami.

Ubić na pianę tyle żółtek i taką liczbę łyżek miałkiego cukru ile jest osób przy stole. Na 6 żółtek i 6 łyżek cukru wcisnąć sok z 2-ch dużych, soczystych cytryn i mieszać z ubitemi żółtkami przez 20 minut. Do wymieszanej masy wlać 5 listków rozpuszczonej żelatyny i szklaneczkę koniaku, oraz wsypać 6 łyżek wybranych, ogrodowych poziomek. Wymieszać wszystko ostrożnie, napełnić małe, w wodzie umoczone i wysypane cukrem foremki i postawić na lodzie. Gdy krem zastygnie, wieńcem ułożyć na półmisku ubierając lekko osmażonemi owocami, ostudzonemi i osiąkniętemi z syropu.

Krem Tytania.

Gęstą, wyborową śmietankę ubić dodając odpowiednią ilość cukru, wanilii i rozpuszczonej żelatyny, na dno formy wylanej wodą i wysypanej cukrem, wyłożyć grubą warstwę, na tę zaś, warstwę obranych, osmażonych i ostudzonych moreli (bez pestek). Na morele nałożyć znów warstwę kremu i znów warstwę owoców, osączonych z syropu, malin, truskawek, wisien bez pestek, ananasu, brzoskwiń lub t. p. Poczem znów owoce przykryć warstwą kremu—i tak aż do wypełnienia formy. Ostatnia warstwa powinna być kremu. Po zastygnięciu kremu na lodzie i wyłożeniu go na półmisku, ubrać na wierzchu gwiazdą, a w około wieńcem z pięknie dobranych, osmażonych owoców.

Obiad na Niedzielę.

Zupa pomidorowa czysta z pasztecikami w francuskiem cieście.
Jesiotr pieczony w śmietanie, z tatarskim sosem.
Kotlety pożarskie z garniturem.
Groszek szparagowy.
Perliczki.
Kompoty, sałata.
Galaretka ponczowa z ananasem

Zupa pomidorowa czysta z pasztecikami w naleśnikach.
Jesiotr duszony w śmietanie z tatarskim sosem.
Kurczęta lub kaczki z sałatą lub kompotem.
Galaretka malinowa.